

UWIEDZIONY

Między pustymi jeszcze o tej wczesnej porze wieczornej stolikami sali dancingowej hotelu „Hadrian” snuli się kelnerzy, nakrywając je śnieżnymi obrusami, poprawiając kwiatki w wazonikach, rozmieszczając egzemplarze karty dań. Maître d’hôtel (odpowiednik kierownika sali w lokalach niższej kategorii) automatycznie śledził od baru ich ruchy, podczas gdy barman po tamtej stronie rozległego lśniącego blatu chuchał w kieliszki, przecierał je i ustawiał w pełnych gotowości szeregach. Instrumenty rozłożone na podium dla orkiestry świadczyły o niewidzialnej na razie obecności jej członków.

Jedynie przy perkusji ozdobionej firmową winietą zespołu czas spędzał nietrzeźwy osobnik bez marynarki, nieporadnie zabawiając się pałeczką i „miotelką”. W chaotyczny takt jego muśnięć i uderzeń płąsało na parkiecie dwóch mocno sfatygowanych panów, zapewne na delegacji. Każdy z nich jedną ręką kurczowo trzymał się partnera, gdy druga, zakończona teczką, balansowała swobodnie. Para ta ani nietrzeźwy perkusista nie zaprzętała uwagi personelu „Hadriana”, natomiast zaabsorbował go nagle dość niecodzienny tu widok.

Oto na salę wkroczył mężczyzna około pięćdziesiątki, popychając przed sobą dziecięcą wózek z podniesioną budką. Sunął on w kierunku upatrzonego po przeciwległej stronie sali stolika. Na widok mężczyzny z wózkiem maître d’hôtel osłupiał, o mało nie udławiwszy się wykałaczką, którą właśnie zaczął był dłużyć sobie w głębi jamy ustnej. Po chwili otrząsnął się z osłupienia i energicznym gestem przywołał jednego z kelnerów. Szepnął mu kilka słów na ucho, wskazując wzrokiem nowo przybyłego, który właśnie zajmował miejsce przy upatrzonym stoliku.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, nader proporcjonalnej budowy ciała. Bujna, srebrna czupryna przydawała regularnym rysom jego przystojnej twarzy godności, że nie powiemy — dostojności, a dobrze skrojony, choć może niezbyt modny, ciemny garnitur, olśniewająco biała koszula i krawat przebity szpilką z perłą nadawały szczupłej sylwetce owego pana piętno niedzisiejszej, dyskretnej dystynkcji. Z niewymowną swobodą bywalca usiadł na nieco odsuniętym od stolika krześle, zakładając w sposób niewymuszony nogę na nogę. Jedną ręką zaczął wertować menu, gdy druga lekko kołysała wózkiem, a z jego ust płynęło kojące: „Aaaa aaa aaa ...”

Na widok zbliżającego się kelnera obrzucił go krótkim, badawczym spojrzeniem. A było kogo obrzucić, bo i kelner wyróżniał się wśród swoich kolegów z „Hadriana” zewnętrznymi warunkami członka Izby Lordów. Skłonił się przed klientem i chwilę tkwił tak milcząc, jeden naprzeciw drugiego, jeden greckim, a drugi rzymskim profilem zwróceniu ku sobie, i było w nich jakieś podobieństwo, powinowactwo, pobratymstwo nawet niejako, które sprawiało, że tak różni, jakby z jednego się wywodzili... czego? Otóż to: czego? To dla nich jeszcze było niejasne, ale czuli to obaj, wyczuwali w podświadomości swojej, że z czegoś wspólnego się wywodzą.

— Zacząłem od odrobiny kawioru... czarnego nieprasowanego. — Starszy pan odsunął menu i mówił dalej z pamięci pięknym, starannie modulującym słowa głosem: — Do tego kieliszek czystej z lodu. Kawior zjadłbym na toście... średnio podrumienionym...

Nagły spazm krtani zniekształcił ostatnie słowa mówiącego, a bolesny skurcz twarzy zmaćcił porządek jej rysów w galimatias rozpaczy. Ukrył ją też w dłoniach, a przez palce, długie, białe, z migdałowymi paznokciami przeciekły słowa, niby krople bólu:

— O Boże! Boże ! Boże! Nie, ja tego nie wytrzymam!

Wytrzymał jednakowoż na razie, bo po chwili dłonie jego odsłoniły twarz po dawnemu spokojną, a z ust płynęły rzeczowe instrukcje przerywane adresowanym do zawartości wózka nuceniem:

— Zupy nie będę jadł... Aaaa aaa aaa... W moim wieku zup na noc należy unikać. Natomiast coś lekkiego z ryb... Może pstrąga na niebiesko? Do pstrąga bym... kieliszek chablis, ale nie macie pewno, więc może jakieś białe jugosłowiańskie!

Aaaa aaa aaa...

I znów skóra twarzy, znów dłonie ją zasłaniają, a przez palce przecieka ból, skroplony w słowach:

— Jak ja to przeżyję?!

Jak?! O, mój Boże!... O, mój Boże!...

Trwało to jeszcze krócej niż poprzednio, a potem — spokojne wyjaśnienie:

— Spotkał mnie cios przed chwilą, wie pan... Mnie i to oto maleństwo. Aaa... aaa... A kiedy spada na mnie nieszczęście, odczuwam natychmiastowy głód. Więc i płatek krwistej polędwicy... albo lepiej chateaubriant z kartofelkami paille. Aaa aaa aaa ... Czy orkiestra tu nie gra?

— Gra — odpowiedział uprzejmie kelner, którego najwyraźniej wzruszyło wyznanie starszego pana, chociaż do wzruszeń na pewno nie był skory. — Ale w tej chwili patrzy na mecz w telewizji. Zresztą zabawa się jeszcze nie zaczęła.

— A ci panowie? — spytał starszy pan, ogarniając perkusistę amatora i dwóch płasaczy z teczkami.

— To jest wczorajsza zabawa — wyjaśnił kelner. — Ona się już kończy.

Maître d'hôtel, który uważnie śledził dialog gościa z obsługującym go kelnerem, przeniósł wzrok na uczestników wygasającej zabawy, jakby dopiero teraz ich zauważył. Oko jego rzuciło złowieszcze błyski. Energicznym krokiem opuścił salę, na której też niemal natychmiast po jego wyjściu zgasło światło. Z mroku dały się słyszeć odgłosy jakby szamotaniny, prucia tkanin, jęk „Nie za nogi! Jestem prezesem!”, suwanie jakby ciał po posadzce itp. Po paru sekundach światła znów zapłonęły nad pustym już parkietem. Pan przy perkusji zniknął również bez śladu.

— Co to było? — Starszy pan próżno szukał wzrokiem nieobecnych.

— Przerwa w dopływie prądu — brzmiało lakoniczne wyjaśnienie kelnera.

Ale tamten już go nie słyszał. Nowy, gwałtowny paroksyzm pograżył go ponownie w głębokiej, choć krótkotrwałej, jak zwykle, rozpacz:

— Porzuciła mnie! Mnie i to oto niewinne dzieciątko!... Ja już się z tego nie otrząsnę! O, Boże, Boże, Boże!...

Otrząsnął się atoli i tym razem po krótkiej chwili.

— A dla tego maleństwa naturalnie coś lekkiego. — Mówił już spokojnie, obrzucając wózek tkliwym spojrzeniem, choć jeszcze w oku błyszcząły mu łzy. — Aaa... aaa... Występy tu macie?

— Mamy tu bardzo atrakcyjny strip-tease w późniejszych godzinach — uprzejmie poinformował gościa obsługujący i dodał tonem szczerego współczucia: — Niestety, dzieci, zwłaszcza niemowlęta w wózkach, nie mogą tu pozostawać, proszę szanownego pana. To jest nocny lokal dla dorosłych.

Od łez jeszcze wilgotnym, pełnym wyrzutu wzrokiem spojrzął nieszczęśliwy ojciec na szlachetną, życzliwą twarz pracownika gastronomii.

— Ja rozumiem — rzekł cicho tonem, w którym drgał jednakowoż wyrzut. — Ale skoro to nieszczęście zważyło się na nas obu właśnie nocą, to dokąd mamy się udać? Jakże ja zostawię synusia maleńkiego bez opieki? Aaa aaa aaa... Do przepisów trzeba podchodzić po ludzku,

bo są dla ludzi. Aha! Do tej poledwicy oczywiście... czerwone. Może być węgierskie cabernet.

— Tak jest. Dziękuję. Jednak to maleństwo nie może tu zostać — życzliwie, ale nieustępliwie obstawał przy swoim odbierający zamówienie. — To nie dla niego lokal. Nie dla naszego milusińskiego. Tu będą palili, pili i... gorzej jeszcze, proszę pana szanownego. A u szatniarki maleństwu będzie dobrze, w pokoiku przy szatni. Ona kocha dzieciaczki. Pan Bóg odmówił jej radości macierzyństwa, ale pokarmu ma zawsze pod dostatkiem.

— A, jeżeli tak, to co innego — ustąpił klient pod wpływem perswazji usługującego. — Wykazuje pan, muszę przyznać, wyjątkową wprost wrażliwość na dolę dziecka. W pańskim zawodzie zwłaszcza to rzadko spotykane, niestety.

Słowa uznania miło połechnęły zawodową dumę lechtanego.

— Dziękuję — odparł i ciągnął pełen szczerego współczucia: — Pragnę ze swojej strony wyrazić łaskawemu panu ubolewanie, ponieważ, niestety, niczego z zamówionych potraw nie będę mógł podać. Dziś wolna sobota, więc tylko — zimna kuchnia. Gdyby pan szanowny uważnie przestudiował kartę dań, to tam wszystko na gorąco jest skreślone, a z drugiej strony trudno mi było przerywać, bo dzisiaj rzadko kto tak pięknie układa menu, jak pan szanowny. Natomiast chętnie służę czystą i prażynkami, bo mamy z lodu i świeże.

Takt, z jakim przekazał kelner klientowi tę w końcu nie najweselszą wiadomość, sprawił, że rodząca się w sercu tego drugiego sympatia ku pierwszemu rozkwitła na ustach drugiego uśmiechem wdzięczności dla pierwszego, gdy drugi mówił, a pierwszy słuchał chciwie:

— Ja nie mam słów dla pana. Zakomunikował mi pan rzecz raczej przykrą, ale w jakże subtelnej formie! Cieszę się, że w tak ciężkiej chwili spotkałem człowieka takiej delikatności uczuć. Pozwoli pan, że się przedstawię: Rozłupski. Maurycy Rozłupski.

— Z Rozłupia? — Na twarzy, której by się nie powstydział członek Izby Lordów, odmalował się wyraz radosnego zdumienia.

— Istotnie — odparł Rozłupski, uściśnawszy dłoń rozmówcy swego. — Tam się urodziłem. Skąd zna pan tę miejscowość?

— Toż stryj mój służył u księcia Melchiora Baltazara Rozłupskiego w Rozłupiu jako kamerdyner Kacper!

Niby w zwierciadle odbił się wyraz twarzy kelnera na obliczu Maurycego Rozłupskiego tym samym radosnym zdumieniem.

— U mego ojca! Pański stryj, Kacper stary... jakże mu było?

— Kuciepa. Kacper Kuciepa.

— Stary, wierny Kacper Kuciepa! U ojca mego stryj pański rodzony! Cóż za spotkanie!

Łzy zaszklily się w oku wzruszonego ojca niemowlęcia, a i w Kuciepowego bratanka żrenicach. Łzy radosnego wzruszenia. Poderwał się z krzesła Maurycy i ręce rozpostarł. Za chwilę chwyci w ramiona postawnego męża w służbowym fraku i do serca przyciśnie. Ale ten cofnął się nieco, w uniku. Jakże to? Na służbie? Nie wypada. Wysoko kwalifikowany był w swoim zawodzie, znający obowiązki swoje. Rozłupski zrozumiał. Opuścił ramiona, ale wzroku pełnego tkliwości nie sprzątnął z twarzy rozmówcy.

I tak stali chwilę naprzeciw siebie, a nad głowami ich unosiły się obłoczki wspomnień jak bańki mydlane. Co jedna pęknie, to druga się wzdyma, podlata, a w każdej inny obrazek daleki, zamglony, a bliski...

*

Aleja lipowa zwieńczona na końcu odrapanym portrykiem pałacowym... Ogień na wielkim kominku, a przy nim rodzice, księżę i księżna: on w monoklu i wytartym, starym szlafroku, ona w sfatygowanych koronkach, gipiurach...

Stacyjka kolejowa w słońcu, stryj w bryczce po księcia panicza wyjechał, do Rozłupia go wiezie, a obok bratanek... „Z paniczem będziesz się bawił, z Mauryckiem małym, a księcia pana w rękę całował i księżną panią...”

Palant na polanie parkowej: bratanek rżnie piłką Maurycka, że się blade dziecko mało nogami nie nakryje, ale to nic — w przyjaźni obaj, chociaż siły nierówne i sytuacja społeczna... Jaki to ładny chłopiec i miły, ten bratanek Kacpra. Mógłby jadać z nami przy stole”... Jeżeli księżna pani raczy pozwolić, to w kredensowym będzie jadał, ze mną. Ja tam mu przy pańskim stole podawać nie będę, za pozwoleniem jaśnie oświeconej księżny pani”.

Oj, ten śmiech, a plusk, a piski! W wymieszanej ze słońcem wodzie zielonej, przezroczej... tu tyłek mignie dziewczynki, tam cycek zakwitnie niby nenufar różowy, a oni, dwaj mali, przez ażur krzaków czeremchy ino okiem pogładzą, poklepią te słodkie, niepokojące krągłości, wypukłości, wklęsłości, porosty jędrnych dziewczek folwarcznych... A potem w maliniaku cienistym, pachnącym — te marzenia, wspomnienia, masturbacje niewinne, chłopięce...

I znowu stacyjka, w deszczu teraz, chorągiewka wzniesiona, czerwona... Wracać pora, matce w maglu pomagać... Maurycek na peronie powiewa chusteczką, a w oknie wagonu czwartej klasy kolega usmarkany trochę od płaczu...

— Nigdy bym księcia nie poznał... — Stary kelner wpatruje się w twarz Maurycego niby w monetę wytartą, z której trudno odczytać wyryty ongi wizerunek następcy tronu.

A Maurycy wpatruje się w dostojne oblicze tamtego i chłopczyka w nim wypatruje, Kacperka z lat dawnych, co wakacje z nim razem w Rozłupiu spędzał. I jakby z bruzd tej twarzy zarys dziecięcej buzi wyluskiwał znajomej, choć zapomnianej...

— A ja bym pana, Kacperku... ja bym pana dopatrył się, wypatrył... Bo czegoś już, patrząc, się dopatrywałem, patrz pan!...

— Słyszałem od stryja mego, że starszy książę pan przeklął pana... — przerwał stojący siedzącemu to patrzeć się, wpatrywanie, wypatrywanie. — Ale za co? Już nie pamiętam...

Stare wspomnienie zbudził tym zdaniem w duszy Maurycego, bolesne. Jakże — klątwę ojcowską! A jednak pogodzi się twarz byłego przeklętego na to wspomnienie i błogi uśmiech rozchyła jego wargi, zęby ukazując zdrowe jeszcze, własne.

— A przeklął, przeklął ci mnie papo świętej pamięci. Za Jagusię mnie przeklął, za Marynównę... Niechże pan siądzie przy moim stoliku, to opowiem.

— Nie, siąść nie mogę. Na służbie jestem. Ale wózek z dzieciątkiem odprowadzę. Czystej z lodu i prażynek świeżych przyniosę i chętnie posłucham pana szanownego.

A kiedy odprowadził i przyniósł, rozpoczął eks-książę swą opowieść.

Niby kobierzec barwny, wzorzysty ta łąka pod borem, z miriadów trawek kwitnących utkany. Mieni się to — to w słoneczku czerwcowym, a gra świerszczami, a dzwoni skowronkami, a owieczkami pobekuje, hej! A pośród — kwiat najpiękniejszy, kwiat — niekwiat, motyl — niemotyl, Jagusia Marynówna! Oko niebieskie, kosa blond, spódnica falista, kwiciasta, serdak wzorzysty, wyszywany, bluzka bufiasta, haftowana. A cienka w stanie, a bujna w piersi, a w biodra zasobna! Pasie owieczki i śpiewa wesoło:

Jesienią, wiosną i latem
pasała gąski siodłate,
pasała Maryś pod borem
dwanaście gąsek z gąsiorem.

A ja, maturzysta świeży, młokos przyszczaty, na kasztanku narowistym z boru wyjeżdżam...

Jaś przysed, miele ozorem,
jak to być dobrze gąsiorem.
Po coraz innom se sięga,
dwanaście gąsek mu gęga.

Najpierw rysią przez łąkę, a potem galopem pomykam, do kopy siana się zbliżam, a śpiewającej nie widzę jeszcze, tylko śpiew słyszę...

Jesienią, wiosną i latem
pasła gąski siodłate,
Jaś jej pomagał kosturkiem —
został siodłatym gąsiorkiem...

Teraz kasztanek zobaczył Jagusię i spłoszony tym nagłym widokiem, jak się nie odsądzi w bok! A ja równowagę tracę i z siodła — łbem w siano nurka daję! Parsknęła Jagusia śmiechem perlistym i na ratunek mi śpieszy, z siana odgrzebuje...

— Olaboga! — niby to zdziwiona wykrzyknie. — A dyć to księżę panicz!

— A ty kto taka? — pytam, otrzepując jeszcze żdźbła trawy z bryczesów i koszuli i muszkę pod szyją na widok ślicznoty poprawiając.

— Jagusia Marynów — odpowiada, cała w złocie i niebieskości, między innymi.

Patrzcie, jakie to rezolutne, a i przymilne w tym Jagusia”, a i dumne w tym, że „Marynów”. Maryna, wiadomo: chłop bogaty, sumiasty, pierwszy gospodarz we wsi. Chłop dziś dziś, dana dana, hej!

— Jagusia?— dziwuję się, bo pamiętam smarkułę, zasmarkaną smarkatą z wakacji dawnych w Rozłupiu. — Nigdy bym cię nie poznał... Urosłaś, wyładniałaś... Dawno cię nie widziałem.

— I kiedy to księżę panicz miałby mnie widywać? Na wieś księżę panicz nie chodzą, a mnie do pałacu tatulo zabraniają: „Nie chodź, Jaguś, do pałacu, bo księżę złapie za co!” — zacytowała ojca przekornie, zaczepnie i parsknęła znów śmiechem, co obnażył dwa rzędy ząbków olśniewających drapieżnych. — Cha, cha, cha!

I mnie się udzieliła wesołość Jagusi.

— Paradnie! — zawołałem i dalejże rechtać z Marynówna: — Cha, cha, cha! Cha, cha, cha!

Aż ściana lasu echem nam się odśmiała, a owieczki pyszczki podniosły żujące i przyglądać nam się zaczęły w komicznej powadze. A Jaguś z tego śmiechu jakże przysiadła i na siedząco zaśmiewała się, rozśmiewała, aż do cna się wyśmiawszy, rąbkim halki, co się spod sukienki wysunęła, łyzy śmiechu z policzków wycierać zaczęła. A że przy tym wysoko ją do twarzy, niby tak niechcący, zadana, ukazały się nogi Jagusine wysoko, wysoko, że tylko, tylko, a ... hej. A tak ci pięknie te nożyska marmurem białym na trawie zielonej białeły, że aż coś mnie w gardle od ich widoku ścisnęło. Dziewczyna zaś wzrok mój ukradkiem przechwyciwszy, zawołała:

— Oj, chmury się zbierają nad borem! Zmoknie księżę panicz!

Nie bardzo deszczowe mi się one zdawały, ale odpowiedziałem buńczucznie.

— Może i zmoknę, ale co mi tam! Nie rozpuszczę się, bom nie z cukru.

— Nie wiadomo — nie dała się Jagusia zbić z pantałyku. — Na gębusi panicz słodki wyglądają... A pod burkę by się nie schował?

I chwyciwszy w rączki burkę, co opodal leżała, burkę obszerną, ojcową widać, załopotowała nią nad moją głową i śmiejąc się śmiechem jurnym, rubasznym, przykryła nią nas oboje. Ciemno mi się zrobiło w oczach i gorąco... Ale gorąco nie od burki, jeno od ciała młodego, bujnego, jędrnego upojnej bliskości. Runąłem jak długi pod jego słodkim, lubym ciężarem, nie broniąc się dłoniom biegłym, co z portek mnie i gatek, z koszuli i podkoszulka, z muszki

mnie i kołnierzyka wprawnie wyluskiwały. Dopiero gdy goły się poczuł, zerwał się — lękiem i wstydem chłopczyńskim, prawiczym zdjęty — i rzucił się do ucieczki. Ale też zaraz, w burkę i spodnie zaplątany, co na butach wysokich nie ściągniętych zwisły, znowu runął, zadkiem boleśnie na oset trafiając. Ale wnet ostu nie czuję, w płomieniach stając leżący, co się nimi od jej ognistych dotyków zająłem, od ust i piersi, od ud i brzucha, jako i ja goluteńkich. To tak, to siak, to wspanak i owak, siędy, owędy, tam i z powrotem, tam i z powrotem...

I nagle... Och! och!... jakbym w otchłań rozkoszną zapadał, jakbym w glebę, praglebę żyzną korzeniem wrastał... Och! och!

Pociemniało niebo nad lasem, srebrnymi kulami gwiazd na sito postrzelane, a ja ledwie do siebie przychodziłem, radośnie ugwałcony, posiędzony szczęście, mnogokrotnie, wypity jak kielich kwiatu z nektarów wszystkich moich... Nie było Jagusi (owieczki śnać dawno już zagnąć musiała), kiedy się z dna nocy owej podniosłem i, rozproszone po łące, odzieży mej części zbierać począłem. Kasztanek pasł się opodał udając, jakby nic z tego, co się na oczach jego rozegrało, nie widział, czułem przez ociążałość słodką mięśni i członków, żem nie wyrostek już, gołowąs, żem na męską stronę Jagusinymi rączkami wywrócony, mężczyzną na wierzch, ojcem do góry. Tak — ojcem, tatulem, tatuniem, bo słodkie poczucie ojcostwa, tatusiostwa, tatuństwa roztkwiło mnie, rozrzewniało, rozęziało od wewnątrz jakoś...

*

Nie będę panu opowiadał, drogi panie Kacperku, wszystkich szczegółów ciągu dalszego romansu mego z Jagusią, miłości naszej przecudnej, co po polach się działa i łąkach, po zagajnikach i w kniei, na murawie i w sianie, na wozie i pod wozem, a i na materacu, kiedy Jaguś do pokoju mego przez okno niby jaskółka nocna śmigła. Aż powiedziała raz ś. p. księżna matka moja:

— Podobno z Jagną Marynow romansujesz. Oj, Maurycy, Maurycy! Żeby tylko dziecka z tego nie było!

No, i wykrakała ś. p. j. o. księżna mateczka, wykrakała dzieciątko...

Pamiętam dobrze ten dzień słotny, ponury, jeden z pierwszych dni nadchodzącej jesieni. Pamiętam ten obiad, ten rosół z rurą i sztukamięs kruchą. Księżę ojciec mój, jak zwykle, wyjmuje rurę z rosółu i o talerz nią uderzając, szpik z niej, tuk gorący wytrząsa. A potem na chleb rozsmarowuje i na chlebie, solą posypyany, mi podaje. A mnie, com tak szpik lubił, mdłość nagle straszliwa do gardła unosi. Zdążę czy nie zdążę odbiec od stołu? Nie zdążyłem!

— Ah! Qu' est-ce qu'il a, le malheureux? — eksklamuje ś. p. matka moja. — Il vomit dans son assiette!*

Krzyk matki brzmi w uszach moich jak ostatni sygnał rodzinnej biesiady przed mrokiem bezświadości, w którym się pogrążyłem po wyrzuceniu się w talerz, głęboki na szczęście. Źle znosiłem ciężę Jagusi, zdecydowanie źle. Nic, tylko mdłości nieustanne i omdlenia. Omdlenia i mdłości. Podczas gdy ona, Jaguś, jak jabłoń kwitła, pachniała, rozkonarzała się, rozdziupłała i owocowała owocem ciężkim. Już po owym zasłabnięciu pierwszym zwierzyłem się ukochanej na stogu, że chyba dzieciątko będziemy mieli chłopsko-pańskie, książątko-chamiątko rozkoszne, maleńkie. A ona mi na to obojętnie, zdawkowo:

— Pewnikiem, a ino. Nic, tylko dziecko. Jak mdłości, to dziecko, ani chybi.

I tyle. Ani w niej troski ociupiny o przyszłość maleństwa. W co ubrać, czym nakarmić, rodziców dać ślubnych, metrycznych — jak? A i dla mnie czułości w niej brak boleśnie mnie dotknął. Czułości za ojcostwo to moje pierwsze, za to wspólne, tajemne, co się w niebycie mroku poczęło. Aby jeno żądzę zaspokoić, ciałem mnie jurnym przywalić, wyobrać na słomie, posiąść i dalejże lecieć — dokąd ją popęd pędzący popędzi! „A może nie wierzy, że

się z nią ożenie? — pomyślałem z otuchą wśród nocy, co potem nastąpiła, od łez opuchnięte powieki susząc rogiem poduszki. — Może nie wierzy? Może zbyt dumna, by o rękę mnie prosić, zbyt nieśmiała, by na możebną arogancję arystokraty się narazić? Tak. Nic, jeno to właśnie przyczyną jej dziwnego zachowania. Nic, jeno to”.

Nazajutrz dzień wstał piękny, słoneczny, jeszcze ciepły i rozrosiony obficie, rozpajęczony babim latem. Siedział stary Maryna, cały w nitkach srebrnych, na przyzbie chaty malowanej, w portach pasiastych, koszuli bufiastej, serdaku wyszywany, chłop dziś dziś, dana dana! Chłop, chłop, hejże ha! Siedział i z tej radości, że stodoły, że brzegi, że komory, a i kobza napelnione obficie, śpiewał se na całe gardło:

Oj, przekwitły już wiśnie, już wiśnie!
Oj, uściśnięm się, Maryś, uściśnięm!
Oj, uśniemy se, Maryś, o świcie,
kiej krzykajom przepiórecki, oj, w życie!

— Niech będzie pochwalony — pozdrowilem rozśpiewanego kmiecia, od gościńca nadchodząc.

Garnitur na mnie był czarny, uroczysty, spodnie sztuczkowe, kołnierzyk i mankiety koszuli białej sztywne, glansowane, kamizelka i getry kremowe, takiż kapelusz panama, a w butonierce — aster pąsowy. Podniósł Maryna ciężką, spracowaną dłoń do czoła i, oczy od słońca przysłaniając, odpowiedział bez cienia czołobitności:

— Na wieki wieków. A cóż to księcia panicza przyniosło na moje gumno?

— Chciałbym z wami pogadać na osobności, Maryna — wyznałem nieśmiało, bo mnie ten chłop hieratyczny samą posturą swoją zbił nieco z pantałyku.

— Ano, to niech księżę panicz gadajom. Osobność tutaj całkiem osobna — zażartował, pierdnął z chłopska rubasznie, uniósłszy się nieco, i gestem szerokim wskazał mi miejsce na przyzbie, podle siebie.

Ale ja nie usiadłem. Na stojąco, uroczyście mówiłem:

— Mam zaszczyt prosić was, Maryna, o rękę córki waszej, Jagusi.

— Nie może być! — wykrzyknął Maryna i dłoń do ucha przyłożył. — Dobrze słyszę?

— Chcę się ożenić z Jagusią — potwierdziłem z całą mocą.

— Jagna! — ryknął Maryna. — A pódźże tu ino!

Wybiegła z głębi chaty Jaguś moja jedyna, cała w koronkach i wstążkach, śliczności moje cyncate, i tylko jej dłonie we krwi unurzane złowróźbnie się jakoś czerwieńły, szkarłatne dłonie oprawczyni...

— Słuchaj no, córko — ojciec do niej, szelmowsko oko mrużąc. — Księżę panicz raczył o rękę twoją mnie prosić. Co ty na to?

— A co ja na to? — odburknęła pytaniem na pytanie, obrzucając mnie i strój mój uroczysty bezlitosnym, drwiącym spojrzeniem. — Dyć tatula proszą, to niech tatulo im powiedzą. Ja tam czasu ni mom, gąskę zacinom.

I, obróciwszy się na pięcie, znikła w sieni. Maryna roześmiał się szeroko pod wiechą wąsisk sumiastych.

— Widzicie ją, jaka chytra! Sama nie chce dać kosza jaśnie paniczowi księciu, to na ojca zwala. Cha, cha, cha!

— Kosza? — ledwo mi przeszło przez gardło zdławione wstydem słowo.

— A juści! A po co nam zięć taki, z przeproszeniem księcia panicza, jak księżę panicz? Jagusia panna posażna, a panicz niby księżę, a gołym tyłkiem świeci. Cha, cha, cha!

— Proszę się tak nie śmiać, Maryna! — krzyknąłem ze łzami w oczach, do żywego w dumie mojej księżęcej dotknięty. — Jestem, bądź co bądź, jedynym dziedzicem Rozłupia!

Nie powstrzymało to potoku słów bezlitosnych, drwiących, co chlusnął z ust wiejskiego bogacza.

— Na Rozłupiu tyle długów, co łat na portkach dziada odpustnego. Jak zlicytują, to i księżę panicz z torbami pójdzie. Uha, ha, ha!

Zebrałem się w sobie, by zadać memu oprawcy cios bezlitosny, celny, co przerwie ten rechot jego okrutny.

— Jak wam coś powiem, to nie będzie wam do śmiechu, Maryna!

Na razie jakby poskutkowało. Przestał szczyrzyć wilcze zęby i spytał podejrzliwie:

— O! A cóż takiego?

— Będę miał z Jagusią... dzieciątko.

Ale już pierwsza reakcja Maryny na to dopiekła mi do żywego:

— A bo to pirse?

— Jak śmiecie znieważać moją godność męską?! — oburzyłem się. — Jeszcze z nikim nie miałem dziecka!

— Ale dla Jagny to nie pirsyzna — tłumaczył mi bezlitośnie mój niedoszły teść. — A bo to ona księciu paniczowi pirsemu dzieciaka zrobiła? A dziedzicowi z Paprańca? A staroście z Fujtaszewa? A wikaremu z Nadmuchowic? Weźmie sobie księżę panicz dzieciaka swojego, jak oni, i pójdzie!

Papraniec! Fujtaszewo! Nadmuchowice! O, geografio hańby! W oczach mi pociemniało, a na ustach od łez zrobiło się gorzko i słono. Śmiertelnie raniony tym rykoszetem, którym mój pocisk z Marynowego odbicia w pierś mnie samego ugodził, odszedłem, słaniając się i wymiotując raz po raz (znowu mnie mdłości ojcowskie chwyciły), ścigany okrutnym basem Maryny:

— Myśwa chłopcy bogate, wolne z dziada pradziada! Nam dzieci trza chłopskich, krzepkich, a nie cherlaków z krwi jaśniepańskiej!

Młodzieńcza duma księcia nie pozwoliła mi więcej szukać z Jagną kontaktów. Haniebnie przy ojcu mnie potraktowała. Zdesperowany do stawu rzucić się chciałem, ale staw płytki był w Rozłupiu i szlamisty, więcem poniechał. Jużem o tej dziecinie coraz tkliwiej jął rozmyślać, co na ten świat bezbronna przyjdzie, we mnie jedynie, tatuniu swoim, mając orędownika, opiekuna, karmiciela i odziewacza... Widzi pan, jeszcze teraz łąza mi się łąza w oku na wspomnienie owych dni sromoty i przeczuć cichej radości ojcostwa. Przez ostatnie cięży Jagusinej miesiące czułem się lepiej. Wymioty ustały, samopoczucie fizyczne się poprawiło. Na policzki wróciły rumieńce, oko rozbłysło otuchą, a pukle moje nabrały znów dawnej połyskliwości i gęstości. A kiedy późną jesienią przyszło rozwiązanie (cięży chłopskie przebiegały owymi czasy krócej, a za to bujniej, gwałtowniej), zabrałem, jak mi to zapowiedział Maryna, dzieciątko płci męskiej, małego, rozkosznego Morysia, i już ani mi w głowie było z nim pod pociąg, do rzeki, na postronek czy po truciznę. Ukryłem się z noworodkiem we wschodnim skrzydle pałacu, z dala od rodziców, którzy poza zachodnie skrzydło się nie wydalali. Tam to, w zachodnim skrzydle, ojciec mój, księżę Melchior Baltazar, całe dni spędzał na zadłużaniu, rujnowaniu Rozłupia, obciążaniu hipoteki dóbr, przegrywaniu na giełdzie, na wyścigach, ba! nawet na loterii, w karty i w ruletkę (w tę ostatnią przegrywał korespondencyjnie, bo na wyjazdy za granicę nie stać go było). Pośród stosów kategorycznie protestowanych weksli i resztek mebli zajętych przez komornika, zlicytowany i podupadły, ale niezmiennie piękny jeszcze, ten starzec matkę moją jedynie miał u boku, która wytrwale mu towarzyszyła, w podartych koronkach i gipiurach, futerkach wytartych, łysawych. Cała pozostała rodzina bowiem odwróciła się od zrujnowanego, zdeklasowanego arystokraty.

Pogrążeni w materialnych kłopotach, mną interesowali się rodzice dość mało. Nawet chyba nie zwrócili uwagi na to, że nie wyjechałem do stolicy na studia, w Rozłupiu pozostając.

Mogłem więc we wschodnim skrzydle oddawać się swobodnie rozkoszom ojcostwa. A że jurny kucharz pałacowy co i raz którąś z dziewczek folwarcznych w ciężę zapędzał, mamek dla Morysia miałem pod dostatkiem. Wyrodna bowiem matka jego ani zatroszczyła się o pierś dla maleństwa. Ucząc francuskiego po chatach zamożniejszych chłopów (chatę Marynów duma omijać mi, ma się rozumieć, kazała), uzbierałem fundusik na ochrzcenie Morysia. A jednak coś musiało ze wschodu mego na zachód, do rodziców przemijać...

Właśnie cieszyłem się nowiutkim chrestnym synka mojego imieniem, to w buzię, to w pupcię go całując, baraszkując z nim sobie, kiedy stryj pański, Kacper, chrestny ojciec dziecka, zjawił się w moim pokoiku. Książę ojciec wzywał mnie oto przed oblicze swoje. Z niedobrym jakimś przecuciem szedłem przez kurytarze, krużganki i amfilady pałacowe ku zachodniemu skrzydłu. Aż stanąłem w komnacie przestrzennej, tym przestronniejszej, że z mebli już bardzo ogołoconej. Ogień w niej trzaskał na wielkim, gotyckim kominku. Przed nim, na dwóch karłach, które jedyne wyposażenie tej komnaty stanowiły, siedzieli ś. p. j. o. księstwo rodzice, a u nóg ich pies leżał legawy, niestety, jak meble, i on — z pieczęcią komorni na zadku.

— Maurycy, to ty, mój synu? — zapytał ojciec, uważnie mi się przez monokl przyglądając, gdyż rzadko mnie widując, nie był już mej tożsamości pewien. — Nie wyjechałeś jeszcze?

— Ja, ojcze — rozwiąłem jego wątpliwości. — Jeszcze nie wyjechałem.

— A cóż to za dziecko jakieś, co się we wschodnim skrzydle, jak słyszę, chowa? — Nie spuszczał ojciec ze mnie badawczego spojrzenia.

— Chłopczyk... rozkoszny... — odpowiedziałem wymijająco, ale ojca to nie zadowoliło.

— Ale czyj to chłopczyk? — nastawał.

— Mój... — wyznałem desperacko po chwili.

— Co takiego? — zdumiał się książę rodzic. — Chyba nie ożeniłeś się bez naszej wiedzy?

— Nie... To jest mój... nieślubny chłopczyk, ojcze, który... Słowa moje przerwał bolesny jęk księżnej matki mojej, która wydawszy go, zemdląła i tylnym mostkiem zwiśla przez poręcz fotela, puklami srebrnymi podłogi dotykając.

— Z kim masz to dziecko? — zaindagował mnie ojciec, nie zwracając uwagi na mostek matki.

— Wybacz, papo, ale nim ci odpowiem, wpierw mamę ocucę — oświadczyłem mu nie bez wyrzutu, wyjmując z kieszeni flakonik soli trzeźwiących, z którym nie rozstawałem się od czasu mych omdleń. Podsunąłem go mamie, gdzie trzeba. Widząc, że się mama ocyka, ojciec kontynuował indagację:

— A więc... z kim masz to dziecko?

— Z Jagusią, córką starego Maryny — odpowiedziałem szczerze.

— Jezus, Maria! Z prostą chłopką!

To matka wyznanie moje przyjęła bolesnym okrzykiem i przypląciła kolejnym zemdleniem. Ojciec natomiast, gdy mucił znów rodzicielkę, mówił spokojnie, bynajmniej nie wstrząśnięty moim wyznaniem:

— Wcale nie taka prosta ta Marynówna... Stary Maryna bogaty jak sam Lucyfer. A gdybyś się tak ożenił z Marynówna? Nie jestem zacofany. Jam człowiek światły i wolnomyślny. Dopływ świeżej krwi i gotówki dobrze by zrobił rodowi naszemu. No, prędzej cuźże tę matkę i gadaj, kiedy się oświadczysz?

Nie na długo księżna, matczyisko biedne moje, odzyskała i tym razem zmysły. Na tyle jeno, by usłyszeć odpowiedź moją, która kolejnym mimowolnym ciosem w przytomność jej była.

— Już to zrobiłem. Ojciec Jagusi na ślub się nie zgodził, ani ona sama. Kosza dostałem.

Łomot — mać księżna na ziemię tym razem z fotela, a książę ojciec ryczy formalnie:

— Co takiego?!... Przestańże cucić matkę, bo nigdy się z tobą nie dogadam! Coś ty powiedział? Kosza! Syn mój, Maurycy, książę Rozłupski na Rozłupiu, herbu Półkrzyżak, od chłopca, chama zwykłego kosza dostał?

— Tak, kosza — potwierdziłem z satysfakcją jakąś przekorny, widząc ojca mego poruszenie. — Powiedział mi, że ze mnie książkę, co gołym tyłkiem świeci.

Pożałowałem słów mych, tak straszny kolor, sinopurpurowy, na twarz ojca one sprowadziły.

— Gołym tył... tył... — bełkotał, nie mogąc słowa straszego wymówić. — Przeklinam cię za hańbę, którą na nasz ród ściągnąłeś! Przeklinam cię i tego bękarta w karygodnym związku poczętego! Precz z mego domu! Razem z bękartem przeklętym! Precz!

O, jakże straszna była ta postać rosła, ta dłoń wzniesiona, ta głowa sępa łysego w monoklu złowrogie błyski rzucającym. Teraz ja, przeklęty, padłem obok matki mojej, j. o. księżny pani, a ś. p. ojciec mój, j. o. książkę — ś. p. stryja pańskiego przywołał i, jak mi to stryj później opowiedział, tak mu przykazał:

— Ocuci Kacper jaśnie oświeconą księżną panią i na fotelu posadzi, a jaśnie oświeconego księcia panicza ocuci Kacper i na sanie z nim! Jeszcze dzisiaj ma się wynosić z jaśnie oświeconym bękartem swoim!

*

Jak życie moje młodzieńcze, po grudzie szły sanie pierwszymi śniegami zimy przysypanej, wioząc mnie wyklętego i zawiniątko z przeklętą zawartością, Morysiem moim maleńkim. Droga na stację kolejową biegła przez rozstaje, przy których karczma rozsiadła się przysadzista a obszerna, z dachem ogromnym, paru kolumnami krępyimi u wejścia podtrzymywanym. Już z daleka jarzyły się jej okna w zimowej pomroce, a z wnętrza dudnienie basów i piski gęśli dochodziły. Raz po raz wrota się otwierały, buchało z nich ciżbą skłębioną, rozgłosną, pijaną i rozśpiewaną, a ten i ów chłop co i rusz z drugim na dwór wylatywał, to ściskając kamrata i całując, to w ciemność kuma kłonicą lub czym tam pod ręką, w miarę potrzeby serca, zaprawiając, aż krew szkarłatna na śnieg niepokalany sikała.

— A cóż to dziś w karczmie za zabawa tak szumna? — spytałem furmana.

— To książkę panicz nie wiedzą? Weselisko Jagny i Wojtka Pyciaka się wyprawia. Na Trzech Króli się poženili.

Przycisnąłem do serca niemowlę maleńkie w beciku i łyzy, które wiatr mroźny na sople mi ścinał, posypały się gorzkim kryształkiem z mych oczu. A tam, za mną coraz ciszej, coraz dalej huczały basy, piszczały gęśli, rżnęła kapela, wrzeszczały przyśpiewki: Chłop dziś dziś! Dana dana! Chleję, ha! Chłop dziś dziś! Dana dana! Chleję, ha! Chleję, ha!...

Stolica powitała mnie smutną zimą miejską i kryzysem, który zaczynał chwytać świat kapitalistyczny w groźniejsze od mrozu okowy. Zimą jakoś przewetowałem za drobne oszczędności matczyne, które mi j. o. ś. p. ks. matka cichcem wsunąć zdołała przed moim wyjazdem z Rozłupia. Ale gdy przyszła wiosna, pora nadziei i wesołości dla innych, ja znalazłem się bez dalszych środków do życia dla siebie, a przede wszystkim — dla maleńkiego mojego Morysia. Za dumny, by kołatać o wsparcie do krewnych, co się od ojca mego odżegnali, umyśliłem rozpaczne wyjście, które by atoli chociaż dziecko ocalić mogło od głodowej śmierci.

Wieczór był ciepły, wiosenny, buchający aromatem świeżej zieleni z pobliskiego parku, gdy szedłem elegancką ulicą bogatej dzielnicy, z determinacją tuląc do piersi zawiniątko z moim syneczkiem. Pora była późna, ale okna kamienic przeważnie szeroko otwarte. Niektóre jarzyły się rzęsim światłem, rozbrzmiewały muzyką i gwarem biesiad, inne sączyły przyćmione światło przez zapuszczone story. A gdy tam, za grubymi murami dostatnich domostw, syci ludzie zażywali rozkoszy podniebienia, ucha i innych zmysłów, tu, w świetle latarń ulicznych, co chwila cień jakiś przemykał smutny, migąca twarz blada, wynędzniała, splakana, postać się jakaś tuliła pod oknem otwartym i, rozejrzawszy się, czy kto nie widzi —

szmyrg, ciskała zawiniątkiem w ciemny lub rozświetlony prostokąt okiennej framugi. Zamęt potem powstał za oknem, płakało dziecko, ktoś się z okna wychylał, krzycząc: „Podrzutek! Podrzutek!”, nierzadko policję wzywając. Ale ulica pusta już była, miotaczki niemowląt ani śladu. Jenó doróżka klapotem po bruku przeciągała leniwym lub rzadki w tych czasach samochód zaterkotał. Tak działo się na niejednej ulicy, w niejednej dzielnicy luksusu. Cienie nieszczęsnych, nierzadko uwiedzionych i porzuconych, broniły przed głodową śmiercią swe maleństwa, ostatkiem sił miotając je w okna bogaczy. A pośród legionu tragicznych matek ja byłem jedynym bodaj ojcem, który w ich ślady postanowił wstąpić.

Mijałem właśnie bijące ciepłym światłem okno wysokiego parteru, gdy serce zaczęło mi uderzać przyspieszonym rytmem. Z okna płynęły tony fortepianu, na którym ktoś grał modny romans o bogatym paniczku i biednej dziewczynie z kwiatami... Przeczucie mówiło mi, że właśnie to okno... Nagle o mało nie nadepnałem na drobną postać, tulącą w ramionach becik podobny do tego, który ja niosłem. Spojrzały na mnie oczy ogromne, ciemne i bezbrzeżnie smutne, a z ust niemal dziewczęcych popłynął błagalny szepc:

— Pomóż mi pan podrzucić nieślubne! Jestem nieszczęśliwa uwiedziona, bez środków do życia.

— Sama pani nie da rady podrzucić? — zapytałem z troską, bo z miejsca wzruszył mnie wyraz tych oczu otchłannych.

— Nie — odpowiedziała, bezradnie patrząc na grające okno.

— To za wysoki dla mnie parter. Nie mam sił.

— Może znajdzie się okno na niższym parterze? Jeszcze nigdy nie podrzuciałem, więc boję się, że nie trafię. — Staralem się uniknąć poważnej, bądź co bądź, odpowiedzialności za podzucanie cudzego podzuczka.

— Och, nie! — zaprotestowała żywo ofiara nieszczęśliwego macierzyństwa. — To bardzo korzystne okno bardzo zamożnej, bezdzietnej wdowy. Będę się modlić za pana i trafi pan!

— A nie lepiej by, zamiast się modlić, położyć dziecię pod drzwiami tej pani, na klatce schodowej? — próbowałem ostatniego argumentu.

— Stróż mnie nie wpuści — przekonująco odrzuciła mą propozycję matka potencjalnego podzuczka.

— Sam jestem, jak pani widzi, w podobnej sytuacji. — Postanowiłem się zwierzyć, bo budziła moje zaufanie i, co tu gadać, współczucie. — Też mam nieślubne, z uwiedzenia, i też jestem bez środków.

— Och, to podrzucmy oba maleństwa! — Mizerne oblicze nieszczęśliwej rozjaśniło się jakby mgnieniem uśmiechu.

— We dwoje będą się lepiej chowały!

— Pozwoli pani wszakże, że najpierw podrzucę mego Morysia. Zawsze co swoje, to swoje.

Ucałowawszy tkliwie szczerze opatulone niemowlę, zamachnąłem się i okręciłem, dyskobol rozpaczy, by celnym rzutem posłać je w jaśniejący otwór okienny. Rozległ się brzęk fortepianu (Moryś mój najwidoczniej wylądował na klawiaturze instrumentu), który przerwał płynącą z niego melodię. Spojrzałem w stronę uwiedzionej, ale nie zobaczyłem jej już, natomiast za plecami usłyszałem gwizd policyjnego gwizdka i tupot nadbiegających stóp w ciężkim obuwiu. Czyjaś dłoń chwyciła mnie za kołnierz paltota. Jednocześnie w oknie ukazała się postać kobieca z Morysiem na ręku.

— Dzieciaka podrzucił pani dobrodziejce, sam widziałem — zwrócił się do damy w oknie trzymający mnie za kołnierz policjant. — Ale złapałem ptaszka!

— Proszę mi go przyprowadzić, panie dzielnicy — powiedziała dama.

W chwilę potem, wprowadzeni przez pokojówkę, staliśmy, ja i trzymający mnie za kołnierz policjant, w pokoju pełnym pluszowych mebli, haftowanych poduszek, tiulowych zasłon, jedwabnych abażurów, parawanów japońskich, miękkich pufów i puszystych dywaników. Patrzyła na mnie wzrokiem bynajmniej nie groźnym postawna, tęga blondynka, w średnim

wieku, o pociągającej, zmysłowej twarzy i bujnych kształtach, kipiących kobiecością z licznych wycięć, rozcięć, dekoltoń i ażurów zwiewnego peniuaru. Na rękę trzymała nadal becik ze śpiącym, na szczęście twardo, Morysiem.

— To właśnie ten facet podrzucił pani dobrodzice tego podrzutka — mówił dzielnicowy, wyraźnie pod wrażeniem będąc cielesnej obfitości blondyny w peniuarze.

— Przyznaje się pan? — spytała mnie łagodnie dama, nie spuszczać z mojej twarzy leciutko jakby rozbawionych oczu.

— Przyznaję się — odpowiedziałem smutno.

— Proszę nas zostawić samych, panie dzielnicowy — zwróciła się masa kobiecości do funkcjonariusza, który dopiero teraz przestał mnie trzymać za kołnierz.

— Wolałbym zabrać go na komisariat — zaprotestował słabo. — Gotów zrobić jaką krzywdę pani dobrodzice.

— Nie wygląda na to — uśmiechnęła się dama, obrzucając mnie lustrującym spojrzeniem od stóp do głów. — Zresztą dałabym sobie radę. Dziękuję panu za szybką interwencję. Odwdzięczę się przy okazji.

Umieściwszy dziecię me na kanapie, podała rękę policjantowi, którą ten ucałował z szacunkiem.

— Do usług pani dobrodziki. Nie wyjdę jeszcze ze wszystkim. Gdyby pani dobrodzika mnie potrzebowała, proszę tylko gwizdnąć. — Trzasnąwszy obcasami, wyszedł.

— To pańskie dziecko? — zapytała, gdy zostaliśmy sami.

— Moje — przyznałem się bez trudu w tej atmosferze przychylności, jaką zaczęła roztaczać.

— Dlaczego pan to zrobił, młody człowieku? — W jej głosie brzmiał łagodny wyrzut.

— Nie mam środków na utrzymanie... — wyznałem ze ściśniętą krtanią.

Sarnie oczy bujnej blondyny zaszklily się mgiełką współczucia.

— Jak się pan nazywa? — musnęła mnie kolejnym pytaniem.

— Maurycy, ksiązę Rozłupski — przedstawiłem się, nie kładąc specjalnego nacisku na tytuł.

A jednak współczucie ustąpiło natychmiast miejsca zdumieniu, a z jej ust wymknął się gwizd podziwu.

— Dać mu w mordę? — rozległ się okrzyk policjanta, który jak burza wpadł do pokoju.

— Nie — powstrzymała wzniesioną prawicę stróża porządku słowem i gestem. — Gwizdnęłam z podziwu. To ksiązę!

— Kłamie! — warknął policjant. — Wylegitymować się! Polecenie to było, oczywiście, do mnie zwrócone. Kiedy się jednak wylegitymowałem, dzielnicowy zaniemówił z osłupienia, a po chwili zaczął bełkotać:

— Rzeczywiście... Ksiązę pan wybaczy... Ja na służbie... Nie wiedziałem... Służba nie drużba... Mam żonę, dzieci... Jedno się jąka...

Prężąc się, obcasem o obcas potrzaskując i salutując, tyłem zmierzał ku drzwiom, podczas gdy ona, pani tego zacisznego buduaru, również tyłem — ku kanapie, mało dziecka nie przysiadłszy, dosłownie porażona tytułem moim...

— Mój Boże! — szeptała w zachwycie, opadając na kanapę, z której ja dziecię zdążyłem w ostatniej chwili usunąć. — Ksiązę pan raczył osobiście ksiązątko mi swoje podrzucić. I dlaczego to mnie właśnie zaszczylił ksiązę?

— Proszę mnie tak ustawicznie nie tytułować. To krępuje. A podrzuciłem pani z przypadku czystego. Ojciec mnie przeklął, bo nieślubne ono, z mezaliansu...

Zapadła chwila milczenia, zakłócona rozgłośnym gruczeniem w moim pustym żołądku.

— Ksiązę skłonny do mezaliansu, więc może nie wzgardzi skromnym posiłkiem u prostej mieszcanki? — nawiązała figlarnie. — Coś pewnie na zimno znajdzie się w spiżarni.

Byłem, co tu ukrywać, porządnie głodny. Udko kurczęcia z kieliszkiem wina nie całkiem ten głód nasyciło, ale uspokoiło go na tyle, że kiedy powróciliśmy do saloniku, żołądek mój zachowywał przyzwoitą ciszę. Nie chciało mi się stąd wychodzić, z tego pluszowego zacisza, z tej szkatułki wymoszczonej aksamitem uroczej gościnności, w której tak bezpiecznie się poczuło moje skołatane serce. Może wyczuła w mych oczach lęk przed utratą tego schronienia, bo powiedziała:

— Wyznał mi księżę, że jest bez środków. Czy można więc coś zaproponować? Mam na myśli posadę u... mnie. Posadę wypalacza.

Nie słyszałem o takim zawodzie, więc, po chwili gubienia się w domysłach, zapytałem:

— Wypalacza? Jakiego wypalacza? Na wiwat?

— Nie — roześmiała się melodyjnie. — Wypalacza fajek. Jestem właścicielką dobrze prosperującej trafiki. Jak wiadomo, nowa fajka nie jest smaczna, dopóki nie zostanie wypalona. Niektórzy poważniejsi klienci moi wymagają, by fajka spełniała ten warunek już w momencie nabycia. To znaczy, żeby była dobrze wypalona. Księżę palący?

— Nie — przyznałem się. — Ale przecież to nie takie trudne. Spróbuję.

— Chętnie udzielę lekcji... wypalania. Powiedziawszy to, podeszła do stolika, na którym leżała fajka sporych rozmiarów.

— To fajka świętej pamięci męża mojego, dobrze już, oczywiście, wypalona, a nawet przepalona, ale do ćwiczeń dobrze się nada.

Ze szkatułki o wzorze orientalnym dobieła szczyptę tytoniu i w przedziwnie zmysłowy sposób, rzekłbym, pieszcząc ją białymi paluszkami o długich, karminowych paznokciach, poczęła nabijać fajkę. Następnie usiadła przy mnie na kanapce i wprowadziła cybuch między wydatne, paśowe wargi. Przytrzymała go ząbkami i szepnęła, podając mi zapalki:

— To będzie nasza fajka pokoju, a ja — nargile księcia... Przytknąłem płomyczek do tytoniu, a ona, wciągnąwszy potężny haust dymu, ustami swoimi do ust mi nim wionęła, wolną od fajki ręką za kark przyciągając mą głowę. A że płuca miała potężne, napełniła mnie dymem tak obficie, że zachłysnąłem się nim i zakrztusiłem. Długo potem jeszcze musiała mnie ratować. Leżałem na dywanie, a ona sztucznym oddychaniem opróżniała mi płuca z dymu. Każde złożenie ramion mych na piersiach przyprowadzało mnie o istny dymotok z ust, nosa, nawet z uszu chyba. Jeszcze nazajutrz miałem ataki kaszlu z dymem.

Wiktoria Kawaleria, bo tak nazywała się dobrodziejka moja, była piękną, zmysłową, nad wyraz zającą kobietą. Nawet teraz, z dystansu lat, złego słowa nie mogę o niej powiedzieć. I mnie, i dziecku memu wiele okazała serca. A że mój tytuł działał na nią w sposób, który snobizmem trącił, to cóż? Takie to były czasy i takie w nich owych tytułów znaczenie. Posada wypalacza była oczywiście pretekstem, pod którym Wiktoria trzymała mnie przy sobie, cieszyła się mną, otaczała dostatkami, a nawet zbytkiem. Lubiła się też chwalić mną przed mieszczańskim światkiem, popisywać się mitrą mój ą księżęcą wobec oniemiałych z podziwu petits bourgeois. Sama też, ilekroć znaleźliśmy się w zaciszu jej domu, lubiła bawić się moim klejnotem, oglądać go po tysiackroć, brać go w rączki, podrzucać i łapać wśród kaskad perlistego śmiechu. Ten nieustanny, tak publiczny, jak i prywatny, ekshibicjonizm herbowy zaczął mnie męczyć po pewnym czasie, a honor kazał mi się upominać u Wiktorii o spełnienie jej obietnicy. Mam na myśli obiecaną posadę wypalacza.

Nie chciałem dłużej korzystać z jej szkatułki bez żadnych wzajemnych świadczeń z mej strony. No, i właśnie sprawa tych świadczeń, tyle że szerzej nieco pojętych, miała dać wkrótce nowy obrót moim z Wiktorią stosunkom. Była ona przecież kobietą w każdym calu i fakt ten spowodował, że same niewinne igraszki z tytułem moim przestały jej wystarczać. Ja zaś do tych igraszek dodać mej partnerce nie byłem w stanie niczego... Składałem to na kark bujnej szczególnie kobiecości pani Kawaleria, która to kobiecość przytłaczała mnie rozległością swoich obszarów, nadmiarem niejako bodźców po nich rozsianych. Czasem

jednak sądziłem, że to klątwa rodzica mego, j. o. ks. Melchiora Baltazara, demobilizowała gotowość moją w godzinie próby.

Tego uroku, jaki rzuciła na mnie Jagusia, nieświadomy, po jakiejś tam z kolei porażce, opuściłem na zawsze łożo Wiktorii, pozostawiając ją szlochem wstrząsaną i wołającą:

— Idź sobie! Do wypalania fajek się bierz, skoroś z niczego innego wypalić niezdolny! Wynoś mi się!

Dalsze stosunki moje z madame Kawaleria ustalone zostały na płaszczyźnie pracodawczyni–pracobiorca. Przeniosłem się z Morysiem do wynajętego pokoju, a na tyłach trafiki palarnię miałem, gdzie fajki wypalał. Praca to była ciężka, płuca zadymiająca, za to dobrze płatna: pół grosza od kłębu. A że nieraz do dziesięciu tysięcy kłębów dochodziłem, dawało mi to niezły dochodzik, z którego mogłem sobie coś niecoś odłożyć na mający wkrótce nastąpić gorszy okres w moim życiu. Wiktorcia bowiem pod pretekstem, iż zbyt dymię przy pracy, a dym przedostający się do trafiki utrudnia załatwianie klientów, zaproponowała mi pracę na świeżym powietrzu, w warunkach wiejskich. Niedaleko miasta wynajęła mi starą willę. Była to rudera dość podła, ale otoczona pięknym, zaniedbanym ogrodem, w którym mogłem wypalać do woli. Moryś mój miał przy tym doskonałe wiejskie warunki: czyste powietrze, mleko od pobliskiej krowy, świeże jaja i jarzyny. Ogrodnik, który strzegł willi i zaniedbywał ogród, miał żonę, miłą kobiecinę, która mi gotowała posiłki i opiekowała się Morysiem.

Pewnego dnia, a był to chyba koniec lata lub może początek pięknej, pogodnej jesieni, zjawiłem się w trafice z kompletem świeżo wypalonych przeze mnie fajek. Zastałem Wiktorię jeszcze opaloną słońcem lata (wróciła niedawno z urlopu) i eleganckiego oficera kawalerzystę. Był to mężczyzna młody, przystojny, smagły i śmigły.

— Rotmistrz Długolubski, księżę Rozłupski — przedstawiła nas sobie Wiktorcia, po czym dodała: — Muszę panu zwierzyć tajemnicę firmy, panie rotmistrzu. Nie ma lepszego wypalacza niż księżę.

— Łatwo w to uwierzyć, łaskawa pani, patrząc na księcia — grzecznie znalazł się rotmistrz.

Z nieporównywalnym wdziękiem poruszał się po sklepie, podzwaniając ostrogami i postukując trzcinką o lśniące cholewy wysokich butów. Oglądał fajki, raz po raz rzucając krótkie, zmysłowe spojrzenie przez monokl w kierunku właścicielki firmy. Wiktorcia dziwnie była podniecona obecnością oficera i roztargniona. Kilkakrotnie myliła się przy przeliczaniu wypalonych przeze mnie fajek i wypłaceniu mi należności.

W kilka dni później (pogoda była nadal piękna) pracowałem w moim ogrodzie przy wypalaniu, kiedy usłyszałem tętent zbliżających się wierzchowców. Skrzypnęła furтка i ukazali się w niej: Wiktorcia w pięknej, czarnej amazonce i rotmistrz Długolubski.

Przywiązane do płotu konie żuły wędzidła.

— Serwus, Maurycy! Jak ci się pyka? — pozdrowiła mnie wesoło była narzeczona moja, rozpraszając dłonią w rękawicze glacie kłęby spowijającego mnie niebieskiego, fajczanego dymu. — Przywozimy ci z rotmistrzem atrakcyjne zamówienie.

— Nie wiedziałem, że jeździsz konno — zdziwiłem się, po przywitaniu obojga, nie bez odcienia zazdrości.

Sam przecież kiedyś dosiadałem chętnie wierzchowców, i to z nie najgorszymi wynikami, wyjąwszy ów upadek z kasztanka, którego to upadku nie żałowałem wszelako nigdy...

— Bo nie jeździłam, póki mnie rotmistrz nie rozmiłował w pozycji jeźdźca — odparła piękna amazonka, zmysłowo patrząc na swego partnera, który odplacił jej takimż spojrzeniem.

Przelatująca nic babiego lata połączyła na chwilę ich oboje, a mnie się zdało, że nic ta, rozżarzona natychmiast do czerwoności, spłonęła.

Bardzo do twarzy było Wiktorii w stroju do jazdy konnej. Czarny żakiet i także spódnica (jeździła po damsku) uwymuskiły i uszlachetniły jej nieco pełną sylwetkę, uczyniły ją wytworniejszą niż zazwyczaj, a czern półcylinderka pięknie kontrastowała z bujnym złotem jej włosów. Jeszcze nigdy nie wydała mi się tak ładną.

— Jak tam mały Moryś? — zapytała.

— Dziękuję, zdrow — odpowiedziałem i chciałem się udać po dziecko, ale zatrzymały mnie słowa rotmistrza:

— Nabyłem komplet angielskich fajek u pani Wiktorii i chciałbym zamówić u księcia ich wypalenie.

Otworzyłem wręczone mi pudełko z fajkami.

— Aż dwanaście? — przeliczyłem.

— Tak, to poważne zamówienie — przyznał kawalerzysta. — Tym trudniejsze do wykonania zresztą, że nie życzyłbym sobie normalnego wypalania. Jestem wyjątkowo wrażliwy i sama świadomość, że ktoś brał do ust cybuch mojej fajki, napełniłaby mnie głęboką odrazą.

— W jakim więc sposób wyobraża sobie pan wypalanie fajek, jeśli nie przy pomocy ust? — zapytałem nieco zniecierpliwiony fanaberiami oficera.

— Ależ jak najbardziej przy pomocy ust — odpowiedział. — Jedynie nie przez ssanie takowymi cybucha, a przez wdmuchiwanie powietrza od strony żarzącego się tytoniu.

Kiedy zobaczył w moich oczach wahanie, czy przyjąć tak wymyślne zamówienie, dorzucił:

— Zdaję sobie sprawę z trudności, jakie piętrzy przed księciem to zadanie, i dlatego gotów jestem zapłacić cały grosz od kłębu, a nie pół, co, jak słyszałem, jest stawką normalną. Oto zaliczka.

— Zanim przyjmę zaliczkę, panie rotmistrzu, muszę spróbować, czy sprostam pańskim wymaganiom — oświadczyłem, odsuwając wyciągniętą dłoń z banknotem.

Nabiwszy fajkę tytoniem, rozpałem ją, dmuchając w takowy, po czym zaczerpnąłem więcej powietrza w płuca i ostrożnie włożywszy sobie w usta grubszy koniec fajki, wydmuchnąłem je przez cybuch. Raz, drugi, trzeci poszło mi dobrze, ale za którymś razem z kolei zapomniałem się i wiedziony przyzwyczajeniem, zamiast wychnąć, wciągnąłem powietrze, a wraz z nim — rozżarzony tytuń. Zwierzęcy ryk bólu wyrwał mi się z ust. Wyplułem żar, ale język i podniebienie miałem już straszliwie poparzone.

— Prędko! Po lekarza! — krzyknęła przytomnie Wiktoria i rotmistrz rzucił się ku furtce, za którą rozległ się następnie oddalający się galop jego wierzchowca.

Mnie półprzytomnego z bólu chwyciła amazonka w ramiona i ułożyła na murawie, z głową na swoich kolanach. Leżałem szeroko rozdziawiony, z wywieszonym językiem, który Wiktoria wachlowała ściągniętym z głowy półcylinderkiem, drugą ręką przytrzymując bujne piersi, które twarz mą jej przesłaniały. Wkrótce nadjechał rotmistrz z lekarzem. Ten udzielił mi pierwszej i następnych pomocy. Miałem nadal leżeć, przeniesiony do łóżka, pokazując język, co nawet w odniesieniu do rotmistrza sprawiało mi niejako bolesną satysfakcję. Był on cały w bąblach (język), więc w zmniejszonej również wskutek tego jamie ustnej nie mógł się pomieścić. Kiedy zostałem sam na sam z moją chlebobawczynią, powiedziała tkliwie:

— Przyślę ci pielęgniarkę, Maurycy. Biedne moje, drogie, poparzone książątko...

— Aaaaa... — wykrztusiłem z siebie nieartykułowaną odpowiedź.

Pochyliła się nade mną. Jej pukle dotknęły mojej twarzy, a łza, spadająca z jej oczu, zasyczała na moim rozpalonym języku. Serdecznie ucałowała mnie w czoło. Jeszcze więc wtedy nie byłem jej całkiem obojętny. I ona, mimo wszystko, nie była mi obojętna. Do dziś słyszę podwójny, cichnący w dali tętent wierzchowców. Na jednym z nich opuściła mnie na zawsze Wiktoria, nomen omen, Kawaleria...

Kiedy po wyzdrowieniu udałem się do trafiki, zastałem w jej oknach na głucho zapuszczone żaluzje. Stróż kamienicy, w której mieszkała Wiktoria, powiedział mi, że pani Kawaleria

wyjechała „ze wszystkim”. Mieszkanie było do wynajęcia. To zniknięcie Wiktorii stawiało mnie w dość kłopotliwym położeniu, choć może zwrot „stawiać w położeniu” nie jest fortunnym zwrotem...

*

Niech mi pan wybaczy, panie Kacprze, i doleje jeszcze tej gorzały. Dobrze mi ona robi na wspomnienia niewesołej epopei życia mojego. A i zmniejsza wyrzuty sumienia, że pan tak na stojąco mnie słucha... Naprawdę ciekawi pana to wszystko, co opowiadam?... Zwłaszcza że lokal się już zapełnia i goście jakby coraz częściej się rozglądali za panem. Wierzę panu, bo przecież argument pozycji pańskiej stojącej jest nieodparty...

Zniknięcie Wiktorii unicestwiło perspektywę dalszej mojej pracy zarobkowej przy fajkach. Skończyła się kariera księcia-fajczarza. Czasy były kryzysowe, ludzie dzielili zapalkę na czworo, a cóż dopiero, jeżeli chodzi o fajkę, która nie da się podzielić. O nowej posadzie w tej branży nie było co marzyć. Musiałem też zrezygnować z podmiejskiej willi. Nie stać mnie na nią było. Przeprowadziłem się z dzieckiem z powrotem do miasta, wynajmując pokój przy rodzinie bezrobotnych inteligentów.

Miałem pewne oszczędności, które oddalały mnie od widma głodu, ale nie likwidowały całkowicie jego perspektywy. Jak manny niebieskiej wyglądałem z moimi bezrobotnymi gospodarzami śniegu, przy którego uprzątnięciu można było zarobić parę groszy. Na szczęście zima była śnieżna, na nieszczęście zaś — mroźna, co sprawiało, że pieniądze zarobione przy uprzątnięciu śniegu szły na opał. Mniejsza o mnie, bardziej chodziło mi o to, żeby mój Moryś nie zasnął głodu i chłodu.

Stan dziecka zaczął mnie od pewnego czasu poważnie martwić. Moryś był nadal uroczym, zdrowym, rozkosznym, gaworzącym i wymachującym kończynkami oseskiem, ale... właśnie: ciągle tym samym oseskiem. Moryś w ogóle nie rósł. Nie zwróciłem na to uwagi, kiedy pochłaniały mnie zajęcia zawodowe, ale teraz — zwłaszcza odkąd bezrobotna inteligentka spytała mnie: „Ile miesięcy ma to rozkoszne maleństwo?” — stwierdziłem, że coś nie jest w porządku z moim synkiem.

Pewnego dnia postanowiłem udać się z nim do lekarza, zauważyłem bowiem, że na tej samej klatce schodowej mieszka dr Klopsfisz, pediatra, jak głosiła wywieszka na drzwiach. Był to niemłody już mężczyzna, w kitlu nie pierwszej czystości, o trochę nieobecny spojrzeniu zza grubych szkieł. Włożywszy Morysiowi termometr, począł wyglądać przez okno, za który sypał właśnie śnieg. Po chwili wyjął termometr.

— Ile panie doktorze? — spytałem.

— Dziesięć złotych — odpowiedział.

— Ale ja pytam o temperaturę małego — sprostowałem i dodałem, nawiązując do wysokości honorarium: — Myślałem, że dzieci połowę.

— Dzieci mają całą temperaturę, jak dorośli — wyjaśnił.

— Myślałem, że dzieci płacą połowę — skorygowałem moje pytanie.

— Dzieci u mnie nic nie płacą. Za dzieci płacą rodzice. Cha, cha, cha! — Dość długo śmiał się ze swojego dowcipu.

— Co pan doktor stwierdził u dziecka? — przerwałem wreszcie ten wybuch wesołości.

— Chłopczyk, proszę pana — odpowiedział autorytatywnie,

— Zgadza się z panem doktorem. Ale dlaczego nie rośnie?

Doktor był zaskoczony.

— Jak to, nie rośnie?

— Od pewnego czasu przestał rosnąć. Niedługo po urodzeniu przestał, panie doktorze.

Doktor wpatrywał się we mnie tak, jak gdybym to ja nie rósł.

— Żona karmi piersią? — zapytał.
— Nie mam żony. Sam karmię — wyjaśniłem.
— Piersią?... Chciałem powiedzieć... piersią mamki? — indagował.
— Nie mam mamki.
— A kogo pan, w gruncie rzeczy, ma? — zniecierpliwił się.
— Nikogo — odparłem smutno. — Miałem narzeczoną, ale też już nie mam.
— Zgasła szanowna narzeczona? — Lekarz usiłował być współczujący.
— Nie. Raczej odwrotnie. Zapaliła się. Do rotmistrza kawalerii.
— Współczuję panu. — Przetarł szkła i rzucił pytanie z innej dziedziny. — A propos, jakie jest pańskie zdanie na temat roli kawalerii we współczesnej armii?
— Negatywne — odrzekłem bez wahania. Doktor się ze mną nie zgadzał.
— Pański sąd jest zapewne subiektywny. Nie powinien pan uogólniać zdania, które ma pan o tym rotmistrzu, na całą kawalerię. Tętno ma pan w porządku.
— Nie jestem tu w sprawie mojego zdrowia — ośmieliłem się zwrócić mu uwagę. — A po drugie, trzyma mnie pan za zegarek.
— Ach, tak... Która godzina? — nawiązał do zegarka.
— Po piątej — stwierdziłem.
— To najwyższy czas przystąpić do recept.

Usiadł przy stoliku i zabrał się do pisania. Dziesięć złotych, które mu położyłem, schował lewą ręką do kieszeni, nie przestając pisać prawą.

Lekarstwa nie pomogły. Moryś nie rósł. Coraz głębszego nabierałem przekonania, że to klątwa ojcowska tak fatalnie podziałała na gruczoł wzrostu mojego synka. Pułapem twardym zawisała nad głowiną maleństwa i nie dawała mu przybierać na wroście. Podróż do Rozłupia rysowała się jako jedyna droga ratunku. Tak, jechać tam i błagać srogiego rodzica, by zdjąć klątwę, jeśli nie z mojej, to z dziecka głowy. Wszak czas już niejaki upłynął i, być może, opamiętanie przyniósł księciu— klątwnikowi.

Z jakimż bolesnym serca skurczem mijałem, skulony z zimna na chłopskiej furmance, którą nająłem na stacji, ową łąkę pod borem, co na niej Jaguś posiadała mnie z duszą i ciałem tamtej, niezapomnianej wiosny. Nasze łoże godowe, wtedy kwiatami pokryte, teraz szare było i smutne, usiane płatami brudnego, topniejącego śniegu. Jeden po drugim szczegóły zdarzenia, co działo się wtedy pod burką, stawać mi zaczęły żywo w pamięci, przyprawiając o rumieńce wzruszenia. Coraz też mocniej tuliłem do piersi dziecinę, owoc tych chwil niezapomnianych...

— W imię Ojca i Syna! Książę panicz! — zawołał na mój widok sędziwy stryjaszek pański, kamerdyner Kacper.

Ale radość na jego obliczu znikła, gdym spytał o rodziców.

— Oboje jaśnie oświeceni księstwo państwo w pałacu, ale jaśnie oświecony książę pan... na wyjeźdźnym... — powiedział smutno.

— Na wyjeźdźnym? — spytałem zdziwiony, bo ojciec od dawna nie zwykł był opuszczać Rozłupia. — Dokąd się wybiera?

— Na tamten świat, proszę jaśnie oświeconego księcia panicza. — Przy tych słowach łąza zakręciła się w oku starego sługi.

Oddawszy Kacprowi zawiniątko z dzieckiem, pobiegłem amfiladą sal pałacowych ku łożu umierającego. Po drodze księdza spotkałem, który opuszczał już ten przybytek śmierci. „A więc to istotnie aż tak źle” pomyślałem, mijając kapłana. U wezłowania ojca zastałem matkę moją i jakiegoś nie znanego mi młodego mężczyznę, krępej budowy i rumianego oblicza. Juchtowe buty z cholewami i kurtka kroju myśliwskiego wskazywały na pracownika rolnego.

— Maurycy! — wyrwało się matce na mój widok, za radośnie jakby i za głośno w tym bolesnym zaciszu przerywanym jedynie ciężkim oddechem umierającego.

Dźwięk mego imienia sprawił, że ojciec otworzył przymknięte oczy. Twarz jego pozostała jednak nie zmieniona, gdy z wysiłkiem zaczął mówić, wychodząc naprzeciw moim intencjom:

— Dobrze, że... jesteś, Maurycy... Zbliź się... Chciałbym... zdjąć z ciebie klątwę...

— I z małego, papo! — dorzuciłem, przyklękając obok łoża.

— I z małego!

— Nie wiem, czy podołam... — z trudem mówił ojciec.

— Klątwa ciężka, podwójna, a... słaby jestem...

Zamilkł na chwilę, ciężko oddychając, po czym, sił jakby zebrawszy ostatek, dłoń mi położył na głowie i głosem drżącym z wysiłku mówił:

— Zdejmuję klątwę moją... Z ciebie, mój synku... I z... i z... Sił mu zbrakło, głowa, uniesiona nieco, opadła na poduszki, oczy wpatrywały się w obraz jakiś, odległy... Księżna matka pochyliła się nad nim, szepcząc żarliwie, błagalnie:

— Zdejm klątwę jeszcze i z wnuka twego, Melchiorze Baltazarze!

— Rien ne va plus* — wyszeptały wargi poblądłe i zamilkły, a oczy na zawsze zgasty.

— Ciężka to chwila dla nas — mówiła do mnie matka, gdy zatrzasnęły się za drogimi szczątkami wrota rodzowego grobowca. — Był jeszcze w pełni sił. Do ostatka rujnował i zadłużał Rozłupie, jak młody. Aż dziw, że istnieją jeszcze szansę wydobycia posiadłości naszej z tej ruiny, w którą świętej pamięci nieodżałowany ojciec nasz i mąż wpędził Rozłupie. Ale pan Konopas twierdzi, że istnieją. To dzielny i zapalony rolnik.

Ostatnie słowa odnosi się do owego młodzieńca, któremu po raz pierwszy zobaczył u łoża ś. p. j. o. księcia, ojca mego, a który odtąd stale nam towarzyszył.

— Trzeba i mnie rękawy zakasać, mdleć przestać i do roboty się zabrać, a, da Bóg, wyprowadzimy z panem Konopasem majątek na czyste wody — rozwijała myśl swoją księżna matka. — Ale to musi potrwać. Na razie bieda u nas, aż piszczy. Ale w biedzie poznaje się prawdziwych przyjaciół.

Tu matka moja z panem Konopasem wymienili prawdziwie przyjacielskie, pełne wzajemnego zrozumienia spojrzenia. Mnie lżej się na sercu zrobiło, że w tak ciężkich chwilach ma matka moja poważne w panu Konopasie oparcie.

Pozostawiwszy Morysia w Rozłupiu (lepsze miał przecież tutaj, mimo ruiny majątku, warunki niż w mieście), powróciłem do stolicy. Ten tylko, kto przeżywał w wielkim mieście światowy kryzys lat dwudziestych i trzydziestych, jest w stanie przywołać we wspomnieniu obraz stolicy z tego okresu. Jeżeli nie było tu pana wtedy, spróbuję ten obraz odmalować, jeżeli był pan — przypomnieć. Dniem i nocą, w słońce i w deszcz, w mróz i spiekotę unosiła się nad miastem ponura opończa chmur fatalnej koniunktury. Od czasu do czasu ciężką od grozy atmosferę przeszywał pomruk niby to grzmotu, niby to ziemi trzęsienia. To kolejna fortuna rozpadała się w gruzy, kolejny bank plajtował, kolejny zakład pracy zamykał swe podwoje.

Spadały akcje jak liście jesienni. W dzielnicach biedoty nędza piszczała żałośnie, rozdzierająco, jak pies na łańcuchu klasowej jeszcze przeważnie nieświadomości. W dzielnicach bogaczy raz po raz rozlegał się trzask suchy wystrzału. To zrujnowany przedsiębiorca, bankier, obszarnik w łeb sobie palił z brauninga na wieść o swym bankructwie. Ten i ów zubożały przechodzień, ujrawszy poszukiwany towar na wystawie, już — grosze przeliczywszy — kierował się ku drzwiom sklepu, gdy dłoń kupca cenę zrywała i wywieszała nową, o tyle wyższą od poprzedniej, że już dla niedoszłego nabywcy niedostępna. Sprzedawcy niejednokrotnie nie mieli czasu obsługiwać nielicznych zresztą klientów, zajęci nieustannym umieszczaniem cen nowych na miejsce już nieaktualnych.

Nierzadko panny i damy z czcigodnych rodzin upadłość wypędzała na ulicę i nierzadko taki się malował widok: oto pod przysłowiową latarnią piękna dziewczyna z towarzystwa usługi

swe oferuje półdarmo, a opodal nieszczęsny erotoman szlocha i pięści gryzie z rozpaczą, że nie stać go na taką okazję!

A po tym dniu ludzkiej rozpacz, nędzy i upokorzenia snuły się cienie rekinów o brzuchach napęczniałych ciałami ofiar ponurej kryzysowej hekatombi.

Po powrocie z Rozłupia snułem się nieraz całymi godzinami po mieście w beznadziejnym poszukiwaniu pracy, więc też głęboko i trwale zapadły mi w pamięci obrazki z tamtych dni.

Pewnego razu, gdy upał dokuczał dotkliwy, a woda sodowa podrożała niemożliwie, na most wyszedłem szukając ochłody. Zazwyczaj pełen samobójców, tej nocy dziwnie był pusty, odludny. Dopiero w połowie drogi na tamtą stronę rzeki ujrzałem sylwetkę eleganckiej kobiety, opartej oburącz o balustradę.

Na dźwięk mych zbliżających się kroków kobieta oderwała wzrok od toni, w którą wpatrywała się smutno, i — sięgnąwszy do torebki — wydobyla z niej mały damski pistolecik.

— Stać! — zawołała z lufą wycelowaną w moją pierś. — Ani kroku dalej! Nie pozwolę, bymnie pan ratował czynem albo słowem! Postanowiłam utonąć i nikt nie jest w stanie powstrzymać mnie przed tym krokiem. Dostyc mam sadystów, którzy ratują, a potem przyglądają się obojętnie, jak polip rozpaczki oplata swymi bestialskimi mackami odzyskane życie. Mam dość, rozumie pan? Dość!

— Rozumiem, pani, przecież sam mam dość, aczkolwiek jeszcze nie do tego stopnia, bym sobie lekceważył lufę tego rewolweru — odpowiedziałem spokojnie. — Nie mam zamiaru odwozić pani od jej zamiaru. Ale skoro postanowiłaś, pani, opuścić w ten sposób nasz nędzny świat, po cóż ci ta elegancka garderoba?

— Och, mam ją od człowieka, który niegodzien nawet tego, bym odeń ją miała! — jęknęła desperatka ze ściśniętą od łez krtanią.

— Tym bardziej więc niech przyodziejek twój, pani, posłuży komuś, kto bardziej go potrzebuje. Mieszkam u bezrobotnych inteligentów, oboje wydarli się już do granic przyzwoitości. Daj mi twe rzeczy. Niech przynajmniej nieszczęśliwa, bezrobotna inteligentka ma w co się ubrać.

Słowa moje znalazły pełne zrozumienie w tym czułym sercu. Szlachetna desperatka zaczęła zdejmować z siebie kolejno: płaszcz od „Hersego” zdobny pięknym, niebieskim lisem z firmy „Apfelbaum”, kapelusik bardzo szykowny od „Suzette”, sukienkę z domu „Goussin–Cateley”, kombinezkę milanezową prawie nie noszoną, pończoszki gazowe bez jednego oczka, stanik ażurowy, koronkowy — wszystko to z „Lingesie”, pantofelki od „Kielmana”...

Kiedy cały komplet wytwornej tej garderoby przeszedł w moje ręce, zawahała się chwilę przy rewolwerze.

— Chyba go wezmę ze sobą — powiedziała wreszcie. — Wprawdzie nie mam amunicji, pan nie dojrzał do pójścia w me ślady, ale taki instrument na podorędziu mógłby niepotrzebnie pchnąć pana na drogę, którą jeszcze nie czas panu podążać.

Włożywszy pistolet do torebki, dodała smutno, przesłaniając się nią:

— Z torebką kobieta nigdy się nie rozstaje. Nic tam już z resztą poza rewolwerem nie ma. Adieu!

Pożegnawszy mnie smutnym uśmiechem, przedostawać się zaczęła na drugą stronę bariery, a zetknięcie nagiego ciała z zimnym metalem wywołało cichy okrzyk nieszczęsnej.”

— Czy nie ma pani nikomu niczego do przekazania? — zapytałem, by chwilę choć jeszcze zatrzymać ją na tym świecie.

— Nikomu... niczego — odpowiedziała już z tamtej strony bariery. — Jedyne bliska mi istota to dziecko maleńkie, które podrzuciłam zacnym ludziom.

Słowa te i specyficzna intonacja, z jaką zostały wypowiedziane, sprawiły, że wzrok podniosłem teraz na jej twarz, bacznie się przypatrując, i — zanim puściła się bariery — zawołałem:

— Ach, to pani! Wydawało mi się, że raz już spotkaliśmy się, ale teraz jestem tego całkowicie pewny!

Słowa moje wzniciły ciekawość w jej oczach.

— Pamięta pani ową noc podrzutków, kiedy to oboje, każde z niemowlęciem na ręku, spotkaliśmy się pod oknem zamożnej wdowy?

— Oczywiście, że pamiętam... Więc to pan! Ach, proszę mi wybaczyć, że uciekłam wtenczas, ale zobaczywszy policjanta, nie miałam już czasu ostrzec pana. Widziałam, że pana zatrzymał. Jak to się skończyło?

— Chętnie opowiem, jeśli to panią ciekawi. Ale w takim razie zechce pani odłożyć swoje przedsięwzięcie, bo to nie jest krótka historia, i coś zarzucić na siebie, bo robi się chłodno.

Po chwili, już ubrana, szła u mego boku, mostem ku miastu, chciwie słuchając mego opowiadania. Była to natura szlachetna, dotkliwie skrzywdzona przez życie (jak się tego później miałem dowiedzieć), a sercem całym, spragnionym uczuć dawania, zwrócona ku innym. Przejęta moimi losami, już cała zapamiętała się w moich przeżyciach, już zapomniała o sobie, już ani jej myśleć o uśmierzaniu własnych cierpień, o zanurzeniu się w toni, bulgotaniu, o wynurzaniu się bladą topielicą z topieli.

Szliśmy przez miasto nocne, ona o ramię me wsparta... „Liqueurs Baczewski”... „Mydło Jesień— Schicht”... „Radion sam pierze!”... A ja snujący opowieść... „Kosmetyki Pulsa”, „Szukasz szczęścia, wstąp na chwilę!”... o moim z Jagusia romansie... „Czekolada E. Wedel”... „Krzysztof Brun i Syn”... Słuchała z zapartym tchem, z oczyma wilgotnymi od łez wzruszenia..., Arcyksiążęcy Browar w Żywcu”... „Franciszek Fuchs i Synowie”...

Ale kiedy zacząłem snuć wątek Wiktorii i z ust moich padło nazwisko rotmistrza Długolubskiego, palce niedoszłej samobójczyni wpiły się w moje ramię, twarz bardziej jeszcze pobladła, a z oczu wyjrzały ku mnie ból i przerażenie z taką siłą, że zamilkłem, by spytać po chwili:

— Co pani jest?

— Niech pan przy mnie więcej nie wymawia tego nazwiska! — szepnęła błagalnie. — Ach, dlaczego się nie utopiłam!?

Zatrzymaliśmy się właśnie w smudze bijącej z ogromnego świetlnego napisu „Bar Dancing Hadrian”.

— Chodźmy — szepnąłem, prowadząc mą towarzyszkę ku szklanym drzwiom obrotowym, przed którymi straż pełnił fagas w bogatej liberii. — Pani się ledwo trzyma na nóżkach. Starczy mi środków na dwa pokrzepiające cocktaile przy stoliku.

Na widok damy ubranej tak wytwornie fagas skłonił się, przytrzymując rozpędzone drzwi. Weszliśmy do wewnątrz. Przyćmione światła, pary tańczące na parkiecie, dźwięki melodii „Mały gigolo” — wszystko to spowiło nas atmosferą pozornego spokoju i ukojenia, która krzepiąco podziałała na Minii (tak brzmiało imię mojej towarzyszki). Orzeźwiona cocktailem odzyskała smutną równowagę ducha i ona z kolei opowiedziała mi historię swego tragicznego romansu z rotmistrzem Długolubskim.

Okrutnie potraktowana przez poprzedniego swego kochanka, Minii powiesiła się właśnie była w Lasku Bielańskim, gdy przejeżdżający konno przez lasek rotmistrz ocalił ją był celnym strzałem z pistoletu. Odstrzeloną zaopiekował się troskliwie, umieścił w przytulnym pied-?-terre*, otoczył komfortem, rozpieszczał podarkami. Rotmistrzowi powodziło się wtedy dobrze, oczywiście nie w rezultacie skromnych oficerskich poborów, ale w wyniku dobrze prosperującej stajni wyścigowej odziedziczonej po ojcu. Od chwili jednak, kiedy Mimi zaszła w ciążę, stosunek Długolubskiego do niej zmienił się z dnia na dzień, stając się coraz oziębłym. Po rozwiązaniu zapanowała w pied-?-terre lodowata atmosfera, bo były

dobroczyńca przestał nawet łożyć na opał. Ze sprzedaży dawnych podarków rotmistrza Mimi utrzymywała się jeszcze czas jakiś, a kiedy nadeszła wiosna, nie mając środków na wychowanie dziecka, postanowiła je podrzucić.

Przygoda pod oknem Wiktorii przesunęła jedynie w czasie podrzucenie córeczki. Mimi pozostawiła ją w kilka miesięcy później na słomiance pod drzwiami bogatej willi. Roztargniony właściciel długo wycierał nogi w niemowlę, zanim płacz jego nie uprzytomnił temu panu, że to nie wycieraczka. Poczucie winy wobec podrzutka z miejsca bardzo silnie związało przybranego ojca z przybraną córką.

Mimi nie poszczęściło się tak, jak jej dziecięciu. Wkrótce musiała opuścić pied-?-terre. Rotmistrz całkowicie przestał się nią interesować, a to, że stajnia jego zjechała na psy, częściowo go tylko może tłumaczyć. Zresztą, i psiarnia splajtowała wkrótce. Długolubski, rozglądając się rozpaczliwie za jakąś deską ratunku, zwrócił uwagę na Wiktorię Kawaleria, zdolną zaspokoić go zarówno po względem uczuciowym, jak i finansowym. Wiktorii trudno było oprzeć się czarowi kawalerzysty, jak to już zresztą wynikło z mojego opowiadania.

Mimi, która zaczęła zarabiać jako fordanserka, ciągle jeszcze kochała niewiernego kochanka. Kiedy dowiedziała się o jego z Wiktorią romansie, głębokość nieszczęśliwej miłości wskazała jej głębię rzeki jako jedyne skuteczne rozwiązanie związku (uczuciowego już tylko) z rozwiązłym kawalerzystą. Tak to los w przedziwny sposób splótł dwa nasze wątki, mój i Mimi. Świeciły nam te same dwie gwiazdy ponure, Wiktorii i Długolubskiego, choć może nierównej dla nas obojga ponurości.

Rozległ się rzewny, efektowny, skrzypcowy wstęp tanga „Jalousie”. Poprosiłem Mimi do tańca. Oboje szukaliśmy zapomnienia w porywającym rytmie, oboje bez reszty oddaliśmy się tangu. Mimi tańczyła zawodowo, ja wyniosłem z domu biegłą znajomość salonowych tańców. Widocznie tańczyliśmy popisowo, skoro wkrótce już utworzył się wokół parkietu krąg nieruchomych par, które z wyraźnym podziwem przyglądały się naszym śmiałym ewolucjom. To dodało nam jeszcze skrzydeł. Kiedy, kończąc nasz mimowolny występ, przykląknęłam, trzymając w ramionach smukłe ciało Mimi wdzięcznym łukiem przegięte przez moje kolano, rozległy się długo nie milknące, rześiste oklaski.

Na naszym stoliku zamiast nie dopitych czarek z cocktailem, które pozostawiliśmy tam idąc do tańca, zastaliśmy trzy smukłe kieliszki, a obok wózeczek ze srebrnym wiaderkiem, z którego wyglądała szyjka butelki szampana.

— Pan dyrektor Ciechociner zapytuje, czy może się na chwilę przysiąść do państwa? — powitał nas grzecznym zapytaniem kelner.

— Kim jest dyrektor Ciechociner? — spytałem zaskoczony.

— Dyrektorem „Hadriana” — odpowiedział kelner. — To pan dyrektor pozwolił sobie poczęstować państwa szampanem.

W tej samej chwili, nie czekając na skutki swej propozycji, do stolika podszedł zażywny łysy pan w średnim wieku. Całując Mimi w rękę, przedstawił się:

— Czechoczyner. Gratuluję. Państwo jesteście mikadostwo salonowego tańca. Coś pięknego, jak wy to robicie! Ja was angażuję od jutra. Panie Józefie, nalej pan szampana.

Po złożeniu pocałunku na rękę Mimi, długo i wymownie potrząsał moją dłoń. Byliśmy tak zaskoczeni, że bez słowa, automatycznie podjęliśmy kieliszki, naśladując gest pana Ciechocinera. Ten, stuknąwszy brzegiem swego kieliszka o nasze, upił nieco perlistego płynu i ciągnął:

— Przy was, kochani moi, fordanserzy i fordanserki to są zwykłe pipy i szmondaki. Ktoś może powiedzieć: „Czyś ty zwariował, Czechoczyner? Takie czasy, a ty powiększasz personela?” Ale ja wiem, co robię. A może nie wiem, ale jak ja widzę prawdziwego artystę, to ja się wzruszam i już.

— Chwileczkę, panie dyrektorze — oprzytomniałem pierwszy. — Powiedział pan, że nas angażuje. Ale... w jakim charakterze?

— Co znaczy, w jakim charakterze? — obruszył się dyrektor. — W charakterze fordanserów pierwszej kategorii!

— Ach, tak... Musimy się w takim razie namyśleć — powiedziałem za siebie i za Mimi.

— Tu się nie ma co namyślać. — Dyrektor Ciechociner był wyraźnie zniecierpliwiony. — Indyk myślał i jemu ucieli. Jak macie pieniądze, to nie przyjdziecie, a jak nie macie, to przyjdziecie. Ja was na gażę brać nie mogę, bo kryzys i ja dziś nie wiem, co ja jutro mam w kieszeni. Ale na procencie od tańca też źle nie wyjdziecie, moi kochani.

W ten sposób zostaliśmy, Mimi i ja, fordanserami w „Hadrianie”. Lokal, otworzony w przededniu wybuchu kryzysu, widocznie dzięki temu, że był nowo otwarty i miał renomę najnowocześniejszego i najwytworniejszego dancingu stolicy, nie najgorzej prosperował. Frekwencja dopisywała zarówno w nocy, jak i na fajfach. Dyrektor Ciechociner zacierał pulchne rączki na wieść o tym, że jedna czy druga konkurencyjna placówka plajtowała, podczas gdy „Hadrian”, niczym korab zwycięski, mijał z podniesionymi żaglami rafy dyskoniunktury.

Był to człowiek interesu, nie pobawiony wszelako cech sympatycznych. Ambitny, jeśli idzie o poziom lokalu, angażował dobre orkiestry i atrakcyjnych wykonawców nocnych występów. Do mnie i Mimi odnosił się wręcz serdecznie. Mimi miała całkiem miły głosik i wkrótce z fordanserki awansowała na lokalową pieśniarkę. Muszę przyznać, że w piosence „Tańcz, mała fordanserko!”, w której odnalazła kawałek własnej biografii, była wręcz przejmująca. Mnie się udało zataić moje pochodzenie, a ujmujący sposób bycia i życzliwość dla kolegów zjednały mi wkrótce, po początkowych oporach, sympatię większości personelu „Hadriana”.

Nie obyło się wszakże bez interwencji rodziny w sprawy, które w końcu do mnie tylko należały. Już podczas pierwszego karnawału zjawił się w „Hadrianie” pan, dziwnie rysami twarzy ojca mego przypominający, choć może nieco od niego młodszy. Rozejrzał się po sali spojrzeniem człowieka, który trafił tu po raz pierwszy, i zajął miejsce w łoży zaproponowanej mu przez maître’a d’hôtel. Ten po chwili skierował mnie do owej łoży, twierdząc, że nowo przybyły pragnie ze mną pomówić.

— Maurycy Rozłupski? — zapytał mnie ów pan, gdy doń podszedłem, tonem, w którym nie było cienia życzliwości, a nawet uprzejmości.

— Tak — odpowiedziałem. — Czym mogę służyć? Wskazał mi miejsce naprzeciw siebie. Usiadłem.

— Jestem Xawery, brat Melchiora Baltazara — oświadczył tym samym tonem, przypatrując mi się, a raczej oglądając mnie skrupulatnie.

O stryju Xawerym nie mówiło się w domu rodziców moich. Był on młodszym bratem ojca mego, dawno z nim poróżniony na tle jakichś spadkowych nieporozumień. Nigdy też go dotąd nie widziałem.

— Proszę, mimo to, nie mówić do mnie „mon oncle”, ponieważ nie poczuwam się do pokrewieństwa z człowiekiem, który plami honor nazwiska, uprawiając niktzemny proceder.

Twarz stryja nabierała, w miarę wygłaszania tych słów, purpurowego zabarwienia złości. I mnie dopiekł nimi do żywego.

— Nie uprawiam niktzemnego procederu! — krzyknąłem niemal. — Tańczę odpłatnie, to wszystko. Zresztą, moi sekundanci wytłumaczą to panu!

Wstałem i chciałem odejść, ale stryj mnie przytrzymał za połą marynarki.

— Żaden kodeks honorowy nie uzna żigolaka za partnera do pojedynku dla człowieka honoru!

Byłem tak wściekły na tego ramola, że stałem przez chwilę, nie mogąc znaleźć słowa, którym bym mógł go równie obrazić, jak on mnie. I właśnie wtedy przeszła koło mojej łoży Mimi, zdumiewającym spojrzeniem obrzucając dwu zacietrzewionych antagonistów.

— Cóż za urocza ptaszynka! — wykrzyknął stryj na jej widok, tonem tak odmiennym od poprzedniego, że oniemiałem na dalszych parę sekund. — Któż to taki?

— Fordanserka — odpowiedziałem po chwili z satysfakcją. — Fordanserka... śliczna! — powtórzył z zachwytem w oczach. — Mógłbyś mi ją, kochasiu, przedstawić? Prośba w jego głosie brzmiała niemal przymilnie.

— Mógłbym, mon oncle — odparłem, ironicznie akcentując to „mon oncle”.

Nie zaprotestował. Przeciwnie:

— To cudownie — powiedział. — Chętnie pofikałbym sobie, popląsał z tym stworzeniem... Powracając do tamtej sprawy, to... przepraszam cię, że się uniosłem. A może byłbyś skłonny, kochasiu, za jakąś tam, panie, sumkę... zmienić zawód? Mógłbym ci wyrobić posadkę w akcyzie...

Mówił do mnie tonem ciepłym, ale roztargnionym, nie spuszczać oka z Mimi, która usadowiła się przy barze.

— Dziękuję, stryjaszku, ale nie skorzystam z propozycji. Nieźle tu zarabiam. Państwowa posadka mi tyle nie przyniesie. Pracę moją lubię zresztą i nie wyrzeknę się mej niezależności za żadną sumę wyasygnowaną przez stryjaszka.

— Aha... Rozumiem, rozumiem... — Niespodziewanie łatwo zgodził się ze mną stryj Xawery i przeszedł na ton intymnego zwierzenia. — To może inny interes ubiję z tobą? Uważasz... stryjenka twoja to kobieta surowa, purytanka, a przy tym, biedactwo, moja rówieśnica... Więc gdybym tak, pod pozorem namawiania cię do porzucenia zawodu fordansera, wpadł tutaj od czasu do czasu... Nie wydałbyś mnie przed czcigodną księżną, stryjenką twoją? A ja ci w zamian...

— Taką przysługę mogę oddać bez żadnych świadczeń wzajemnych mon oncle — przerwałem księciu Xaweremu. — A... od kogo stryjaszek dowiedział się o mnie?

— Od baronostwa Stiffundssohnów. Bywają tutaj...

Trzeba było widzieć szczęście, jakim promieniał, kiedy oboje z Mimi towarzyszyliśmy mu potem w wystawnej kolacji, którą nas podejmował w „Hadrianie”. Trzeba było widzieć tę radosną bez troskę, z jaką puszczał się w tany, obsypując swoją partnerkę wyszukаныmi kombinacjami, a orkiestrę sytymi napiwkami. Nad ranem jednakowoż zmarkotniał nagle, zwiądnął jakby i — jak świt — poszarzał.

— Pora wracać do domu... — powiedział smutno. — Il est temps de me precipiter sur le sein de ma familie... Rien afaire, mon neveu... Rien ? faire...*

Ale powracał jeszcze kilkakrotnie podczas tego karnawału. Zawsze z jakimś wytwornym prezencikiem dla Mimi. Lubiła go jednak zwłaszcza za jego staroświecką kurtuazję, za bezinteresowność, z jaką adorował piękną dziewczynę, niczego od niej w zamian, prócz sympatii, nie wymagając. Chyba jednak zbyt częste były jego wizyty w „Hadrianie”. Musiały obudzić czujność księżnej stryjny, bo po którejś tam z kolei bez troskiej nocy księżę stryj nie powrócił więcej.

Do stałych bywalców lokalu należeli, jak o tym wspomniał stryj Xawery, między innymi baronostwo Stiffundssohnowie. Ona — piękna kobieta w średnim wieku, podobna do Greta Garbo (podobieństwo to starała się podkreślić każdym szczegółem toalety, makijażu i uczesania), on — starszy od żony, o cechach zewnętrznych zażywnego, bogatego przemysłowca. W głębokim milczeniu siedzieli zawsze w tej samej, rezerwowanej dla nich, łoży. Po wypiciu butelki szampana baron udawał się zazwyczaj do baru, podczas gdy piękna jego małżonka tańczyła z poleconym jej przez dyrektora Ciechocinera fordanserem, zazwyczaj również w absolutnym milczeniu. Na ewentualne próby nawiązania dialogu ze strony fordansera nie reagowała.

Od dnia, a właściwie nocy, kiedy to mnie wyznaczył dyrektor Ciechociner na partnera do tańca baronowej, pozostałem nim już na stałe. Z początku, swoim zwyczajem, nie zwracała na

mnie uwagi. Po paru przetańczonych wspólnie nocach zaczęła mi się przyglądać w sposób dość impertynencki, przy czym lewą rękę przeniosła z mego ramienia na kark, lekko uciskając go palcami zdobionymi w niebywale długie, drapieżne paznokcie. Chwilami atakowała mnie gwałtownie, całym ciałem przywierając do mnie i mocniej wpijając paznokcie w mój kark. Nierzadko godziła przy tym noskiem spiczastego pantofelka dokładnie w kostkę mej stopy. Syk bólu, który mi się wtedy wyrывał, witała przymknięciem zamglonych oczu i bladym uśmiechem karminowych warg. Uprzedzony przez kolegów, nie odzywałem się pierwszy do baronowej, aż wreszcie którejś nocy ona przerwała nasze milczenie:

— Vous dansez admirablement bien, monsieur Maurice...* — W jej oczach skrzył się ogień ironii. — Czy nie podniesie pan w związku z tym opłaty za taniec?

— Proszę ze mnie nie drwić, madame la baronne. — Jej dosyć sztywne grasejowanie skwitowałem moim nienagannym francuskim „r”. — To, że jestem fordanserem, nie upoważnia do tego nikogo. Uczciwie zarabiam tańcem na życie. Nie kradnę i nie oszukuję.

— Ne vous en faites pas, Maurice* — Jej ton wyraźnie złagodniał. — Żartowałam, nie chcąc pana dotknąć.

— Jest pani kobietą piękną i bogatą — skomplementowałem ją najwyraźniej skutecznie. — Wystarczy to, by żarty pani były szczególnie bolesne dla takiego jak ja pariasa.

— Książę parias! — zaśmiała się cicho perlistym śmiechem, choć perły jej śmiechu należały do tych najgrubszych, ciężkich pereł. — Zapewniam pana, że bardziej dotkliwie żartuję z męża mego, chociaż jest milionerem.

— Czy pan baron opuścił już dancing? — spytałem, puszczając mimo uszu tytuł, którym mnie zaczepiła. — Nie widzę go przy barze.

— Nie, mąż nie opuścił lokalu. Udał się jedynie do toalety. Spędza tam zwykle dużo czasu... — Wydeła pogardliwie usta. — Może więc pogawędzimy przy barze? Mam ochotę na jedną wódkę.

Orkiestra właśnie przestała grać. Podałem baronowej ramię i skierowaliśmy się w stronę baru. Po drodze mineliśmy wysokiego mężczyznę w smokingu, towarzyszącego pięknej blondynce o dość obfitych kształtach. Na widok baronowej mężczyzna przystanął i oddał jej ukłon, po oficersku strzelając obcasem o obcas. Blondynka u jego boku odpowiedziała na mój ukłon skinieniem głowy i nieco zaskoczonym, ciepłym spojrzeniem. Byli to Wiktoria i rotmistrz Długolubski. Serce ścisnęło mi jakieś niejasne, niedobre przecucie... Przy barze zastaliśmy Mimi. Była bardzo zdenerwowana. Rzuciła mi krótko:

— Widziałeś? Z nią przyszedł!

Dopiła dużą wódkę i pobiegła szykować się do występu. Zgodnie z życzeniem baronowej zamówiłem dwie czyste z pieprzem i prażynki.

— Zna pani rotmistrza Długolubskiego? — zapytałem mimochodem klientkę.

— Znam bardzo dobrze... — powiedziała z drwiącym uśmiechem w kącikach warg. — Ale to nazwisko, zapewniam pana, to czysta hiperbola...

Orkiestra grała tusz, a refrenista przez małą ręczną tubę ogłosił występ Mimi.

— Światowej sławy piosenkarka, Mimi Fontanelli, w swoim repertuarze!

Światła przygasły. W jasnej plamie punktowca ukazała się blada twarzyczka Mimi. Jej czarne oczy pałały niesamowitym blaskiem, gdy usta śpiewały:

By pomóc matce-wdowie,
gdy umarł ojciec pijak,
co z prania na Grochowie
nie mogła wyżyć nijak,
by siostrze z chorą nerką
lek kupić mieć za co,

została fordanserką
w lokalu „Casino”.

Sunąc teraz, z refrenem na ustach, wzdłuż krawędzi parkietu, szukała wzrokiem tego, któremu zaśpiewała drugą zwrotkę.

Tańcz, mała fordanserko,
gdy ci zapłacił gość!
Tańcz, mała fordanserko,
choć dawno masz go dość!
Chociaż cię nazwie ścierką
pijany partner twój,
tańcz, mała fordanserko,
spowita w marzeń rój...

Jest! Niebacznie zajął stolik tuż przy parkiecie. Nachyliwszy się ku Wiktorii szepce jej coś na ucho, udając, że występ go nie interesuje. Ale Mimi tuż koło niego puszcza salwę z obcasów po parkiecie, ? l’espagnole — trrrrach, trrrrach, trrrrach! Zmusiła go, by spojrzał, jak efektownymi tanecznymi pas wypełnia przygrywkę do drugiej zwrotki; nonszalanckim gestem włożył monokl i z udaną obojętnością zaczął śledzić występ wraz ze swoją partnerką. W oczach Wiktorii czaił się niepokój...

Aż raz do tańca prosi
wytworny ją młodzieniec
i w tangu ją unosi
wysoko ponad ziemię...
Ach! Odtąd się otwiera
przed fordanserką raj:
młodzieńca garsoniera,
gorących uczuć maj...

Stało się oczywiste dla wielu obecnych, że to do niego, do tego przystojnego, wysokiego pana w smokingu kieruje Mimi słowa piosenki, choć on, adresat, słucha ich z tak zimną obojętnością.

Tańcz, mała fordanserko,
z partnerem swym skroń w skroń!
Tańcz, mała fordanserko,
ściskając jego dłoń...
Już nie jest poniewierką
cudowny taniec ten.
Tańcz, mała fordanserko,
bo... wkrótce pryśnie sen!

Po drugim refrenie znów salwy obcasami ? l’espagnole. Znów krótki szalony taniec, a po nim — trzecia zwrotka:

Wyjechał nagle potem
wyśniony jej kochanek.
I znów mieszały z błotem

ramiona ją pijane.
Aż raz, z bezczelną miną,
wprost ignorując ją,
jej pan się zjawił z inną
w lokalu „Casino”!

Teraz już cała publiczność zaczęła kojarzyć tekst piosenki z panem, do którego był kierowany. A kiedy po ostatnich słowach trzeciej zwrotki Mimi stanęła zdyszana tuż przy stoliku rotmistrza z oczami miotającymi błyskawice, sala zamarła w przecuciu czegoś nieoczekiwanego, co za chwilę się miało stać. Straszliwie opanowany oficer patrzył z kamiennym wyrazem twarzy, może jedynie nieco pobladłej, w czarne, otchłanne, złe teraz oczy szansonistki. Wiktoria z nie ukrywanym już przerażeniem śledziła tych oboje. Trwało to ze dwie sekundy, tyle, ile pauza muzyczna przed ostatnim refrenem.

Tańcz, mała fordanserko,
aż do utraty tchu!...

Westchnienie ulgi przebiegło po sali, gdy, wraz z pierwszymi słowami refrenu, Mimi odwróciła się nagłym zwrotem od rotmistrza w cywilu i poczęła oddalać się od niego posuwistymi krokami, tańcząc z wyimaginowanym partnerem i śpiewając:

Tańcz, mała fordanserko,
zrozumieć nie daj mu,
że płatną poniewierką
jest znowu taniec twój!

Nieoczekiwanie znowu podbiegła do stolika niewiernego kochanka, stanęła przed nim w rozkroku sutej spódnicy, podparła się pod boki, lekko odchyłona w tył górną połową gibkiego ciała, i z bezgraniczną wzdargą w pałających oczach wyparlandowała zmieniony tekst zakończenia piosenki:

On nie wart cię! To...!
Tańcz mała fordanserko!

Ostatnie, straszliwe słowo zabrzmiało nie tyle jak policzek, ile jak kopniak wymierzony wytwornemu panu. Dziś literatura i język potoczny, towarzyski przyzwyczały nasze uszy do takich słów. Ale wtedy słowo wulgarne „...” brzmiało stokroć ordynarniej niż dzisiaj, a już w ustach kobiety termin ten był czymś tak niestychanym, że na tle martwej ciszy, która zaległa salę, słyhać było, jak monokl z brzękiem wypada z oka rotmistrza Długolubskiego do kieliszka. Ta sama martwa cisza towarzyszyła Mimi, gdy krokami dudniącymi jak w pustej hali opuściła parkiet, by zniknąć na zapleczu lokalu.

Po jej zniknięciu szmer zaczął wśród publiczności narastać crescendo aż niemal do wrzawy. Rotmistrz zerwał się, zachwiał, jakby jeszcze tym „...” rażony, i — błądy z wściekłości — skłoniwszy się poczerwieniałej na twarzy Wiktorii, podążył szybkim krokiem za swą potwarczynią.

Na sali pojawił się zaaferowany dyrektor Ciechociner, dając znak zbaraniałej orkiestrze, by grała. Jakaś wytworna dama, podnosząc się z krzesła, rzuciła swemu partnerowi:

— Jak mogłeś mnie przyprowadzić do tej wulgarnej spelunki?

Potem oboje ostentacyjnie opuścili dancing, a szereg innych osób poszło w ich ślady, mimo przeprosin i tłumaczeń dyrektora Ciechocinera. Nie należała do tych osób baronowa, która od

chwili kiedy padło owo złowróżbne słowo, rzała cichym śmiechem arabskiej klaczy, aż do łez w pięknych oczach.

— Ah, elle est adorable, la petite! — mówiła z uznaniem o Mimi, między jedną kaskadą śmiechu a drugą. — Répétez moi ce mot, Mauñce!*

— Zdrowie pana barona! — Użyłem tego toastu, by wywinąć się z kłopotliwej sytuacji, w jakiej postawiła mnie prośba baronowej, i wzniosłem kieliszek z czystą. Ale w tej samej chwili od strony toalet rozległ się suchy trzask kilku wystrzałów z broni małokalibrowej. Dyrektor Cłechociner rzucił się w kierunku, skąd dobiegł odgłos strzałów, i znikł nam na chwilę z oczu, by powrócić z okrzykiem:

— Czy jest na sali lekarz?

Jakiś pan wstał od stolika i spiesźnie opuścił salę w towarzystwie Ciechocinera. Za nimi wybiegła przerażona Wiktoria, niczym Eurydyka w zmienionej ? rebours wersji orfickiego mitu. Tak, bo już po kilku minutach w kręgu palącego się jeszcze przez zapomnienie punktowca ukazała się tragiczna postać babki klozetowej. Była to dawna, bezrobotna aktorka, która wykorzystwała nadarżającą się tragiczną okazję, by zelektryzować salę wstrząsającym, zaimprovizowanym, kasandrycznym monologiem ? l'antigue.

Z rozpuszczonymi włosami, z dłońmi dramatycznie wzniesionymi wołała:

— Straszna zbrodnia w toalecie! Trzy trupy na parkiecie! — I dalej, już bez rymów: — Najpierw strzał słyszę i pan rotmistrz wpada przeraźliwie blady, za brzuch się trzymając... „Że też pan rotmistrz do ostatniej chwili”... zdążyłam pomyśleć, a tu, widzę, spod ręki pana rotmistrza krew kapie na posadzkę! Ratujcie go, święci pańscy! Sama ratować nie zdążę, bo już za nim panna Mimi z brauningiem wpada! „Panno Mimi! Nie wypada panience strzelać w męskiej toalecie!” Ale ona nie słucha, tylko — trrach, trrach! Patrząc, leży pan rotmistrz jak długi! A ona jakby się zatrzymać nie mogła, tylko — trrach i trrach! Aż i pana barona, co na odgłos tych strzałów z kabiny wyskoczył, kładzie pokotem. Leży pan baron jak szeroki! A ona jeszcze trrrrach! Do siebie! I pada panna Mimi jak lilia podcięta! Troje już leżą i tylko ja stoję, ocalała, może dlatego, że już kuł więcej nie było... Troje leżą jak kłosa skoszone... Baron niechcący trafiony, a tamci — chcący, śmiercią na zawsze złączeni, co życie ich złączyć nie mogło...

Baronowa spojrzała na mnie ironicznie, absolutnym spokojem reagując na krwawe nowiny z toalet:

— Czy zawsze toasty pańskie są tak skuteczne, Maurice?

— Ależ, pani baronowo, teraz to już na prawdę nie pora na żarty! — zachnąłem się. — Składam pani moje najgłębsze kondolencje.

— A ja panu — gratulacje, Maurice. Odziedziczyliśmy niemałą fortunę.

— Jak to, odziedziczyliśmy? — bąknąłem oszołomiony.

Orkiestra zagrała „Valse triste” Sibeliusa, demonstrując w ten sposób takt i wycucie nastroju chwili. Baronowa lekko pchnęła mnie w kierunku parkietu, mówiąc:

— Uczcijmy pamięć barona tym smutnym walcem. Kilka par poszło za naszym przykładem. Wolałem i ja uczcić tym walcem żałobnym pamięć tej, którą jeszcze niedawno zdołałem ocalić od śmierci. Wolałem to, niż iść tam, patrzeć na drogie mi zwłoki. Zresztą, cóż by tam było po mnie?

Mdlałem na widok krwi na skaleczonym palcu... „Adieu, Mimi!” Jak przez mgłę dobiegały mnie słowa baronowej przez szloch smutnej melodii:

— Pan mi się podoba, Maurice. Wiem również, że w pańskich żyłach płynie krew autentycznie błękitna, podczas gdy Stiffundssohnowie kupili sobie tytuł.

Moje zaręczyny z baronową Stiffundssohn odbyły się nazajutrz po pogrzebie barona. Zaproszony na nie na godzinę siódmą wieczór, punktualnie przekroczyłem progi pałacu Stiffundssohnów. Panował tu jeszcze w pełni pogrzebowy nastrój. Wzdłuż białych,

marmurowych schodów pokrytych czarnym chodnikiem stali lokaje ze świecami w hebanowych świecznikach. Na podeście pierwszego piętra oczekiwała mnie baronowa w srebrnej sukni, z czarną różą na piersiach. Poprowadziła mnie, wsparta na moim ramieniu, ku podwojom, za którymi czekał na nas długi stół pokryty srebrnym obrusem, z dwoma nakryciami ze srebra i czarnej emalii po obu jego końcach. Po spożyciu przez nas posiłku, na który złożyło się głównie ciemne mięso, czarne trufle i wino pinot noir, służba zniknęła dyskretnie. Przeszli do buduaru. Baronowa, która podczas posiłku sporo wypiła, chwyciła mnie obu dłońmi za szyję, jak chwytały człowieka, którego mamy zamiar udusić, i przyciągnęła twarz moją do swojej, tak że poczułem winny jej oddech.

— Chcesz? — szepnęła namiętnie. — Zareczymy się na katafalku... Jeszcze nie sprzątnięty...

Żywo zaprotestowałem. I tak, po wiadomych porażkach z Wiktoria, odczuwałem straszliwą treść przed nocą zaręczynową z baronową. Podobała mi się, do licha, ale i Wiktoria mi się podobała. Pracowałem całą siłą wyobraźni, żeby przedstawić sobie Stiffundssohnową na ludowo: w spódnicy kwiciastej, bluzce bufiastej, serdaku wyszywanym, wzorzystym, na klepisku, na miedzy pod borem... Nie było to łatwe, bo baronowa nie była w typie ludowym, a już katafalk zniweczyłby bez reszty moje wysiłki.

Nie tyle kategoryczne, ile rozpaczliwe protesty moje odniosły skutek. Baronowa ustąpiła. Zawlokła mnie amfiladą garderób i antyszambrów do sypialni. Tu zdarła ze mnie wizytowe ubranie, bieliznę i rzuciła mnie na bezbrzeżne, francuskie łożo zasłane pościelą z czarnego atłasu. Sama wyszła na chwilę.

Przez uchylone drzwi słyszałem szum wody puszczanej z kranu. Baronowa kąpiel przed zaręczynami. Skulony pod śliskim atłasem kołdry, który, nie rozgrzany jeszcze, przyprowadził moje nagie ciało o gęsią skórę, leżałem, z przymkniętymi oczami przywołując w rozpaczliwych konwulsjach wyobraźni obraz narzeczonej mojej w stroju ? la paysanne*... W spódnicy kwiciastej, bluzce bufiastej...

Nagły trzask jakby wystrzału wyrwał mnie z kręgu autosugestii. Rozwiązał się obłok imaginacji, ukazując mi oczom gołą baronową w wysokich butach z ostrogami i z biczem w rękę. Zbliżyła się do łoża, strzelając z bicia, a ja, wiedziony naturalnym odruchem samoobrony, naciągnąłem kołdrę na głowę. Silne szarpnięcie oblubienicy zerwało ze mnie kołdrę. Skuliłem się, bezbronny w nagości mojej, a ona... wybuchnęła śmiechem! Palcem mnie sobie pokazując, to za brzuch się trzymając, to za kolana chwytając w przysiadzie, to po dywanie się tarzając, to drepcząc lub tupiąc w miejscu, rżała rozgłośnie, wypełniając sypialnię po sufit salwami swego końskiego śmiechu.

Wyskoczyłem z łoża i stałem chwilę bezradnie, przysłaniając się, a ona to w konwulsji się kręci, to łzami tryśnie ze śmiechu nieutulonego i rży, rży bez końca, chłoscze mnie tym śmiechem, od którego bicz już bym wolał.

Wreszcie, wdziewając pośpiesznie garderobę, rzuciłem się do odwrotu przez amfiladę garderób, antyszambrów, kularów, po schodach marmurowych — w dół, przez hall wielki — skosem ku drzwiom, przez które wreszcie wypadłem na ulicę. Tu jeszcze mnie ścigał, z okna na piętrze, chłosczący śmiech baronowej.

*

Kiedy po kilkudniowej nieobecności wróciłem do „Hadriana”, dyrektor Ciechociner powitał mnie tak, jakbym w ogóle nie przerywał pracy. Moją prośbę usprawiedliwienia się jakimś kłamstwem przerwał sakramentalnym zwrotem:

— Żebyśmy tylko zdrowi byli, panie Maurycy. — I dodał: — Te trzy nieboszczyki zrobili mi taką reklamę, że ja już mogę na nią grosza nie wydać przez najbliższy rok. Ale Mimi żal,

oj, żal... I po co to zaraz szczelać? Jak ja by szczelałem do każdego, co mam ochotę, to ja by się zrujnował na amunicję, panie Maurycy.

Baronowa nie zjawiała się więcej w „Hadrianie”, czego zresztą bynajmniej nie żałowałem. Wkrótce po mojej ucieczce z pałacu Stiffundsohnów wyjechała jakoby za granicę. Nie zobaczyłem jej już nigdy. Raz jedynie zdarzyło się, wezwano mnie do telefonu, a kiedy przyłożyłem słuchawkę do ucha, rozległo się w niej znajome, charakterystyczne, szydercze rżenie śmiejącej się klaczy...

Ciężkie to były dla mnie dni, te, które nastąpiły po owych pamiętnych, tragicznych wydarzeniach. Łatwiej zresztą przeboleć bolesny skądinąd incydent z baronową niż odejście Mimi. Brak zmarłej, z którą tak bezinteresownie i serdecznie się przyjaźniłem, wpędził mnie w głęboką depresję, z której miał mnie wkrótce wydobyć niezwykle incydent.

Było to pewnej nocy karnawałowej. Wypoczywałem przy barze po długich, wyczerpujących piasach z pewną niestrudzoną, zamożną damą, która, na szczęście, musiała wywieźć do domu zbyt wcześnie upitego męża. Orkiestra wróciła właśnie z posiłku i stroiła leniwie instrumenty. Nagle na schodach prowadzących do wejścia (sale „Hadriana” znajdowały się w podziemiach) rozległo się rżenie i dźwięk podków na marmurowych stopniach. To piękny pułkownik Lasallewicz, ulubieniec marszałka, bożyszcze dam z towarzystwa, przyjaciel artystów, legendarny kawalerzysta i enfant terrible sfer rządzących zjeżdżał konno do „Hadriana”.

Słyszałem już o tych jego słynnych wjazdach, ale widziałem to po raz pierwszy. Orkiestra zagrała ulubioną melodię pułkownika „Jedzie, jedzie na bułanku”, a dyrektor Ciechociner w towarzystwie dwu kelnerów ruszył w stronę parkietu. Jeden z kelnerów niósł na tacy butelkę szampana mum, drugi — dwa kielichy. Kiedy pułkownik wjechał na parkiet, strzelił korek i jeździec odebrał z rak dyrektora kielich pełen musującego wina. Wzniósłszy toast za zdrowie dam obecnych na sali, pułkownik wychylił kielich do dna. Uczynił to samo jego wierzchowca, chwyciwszy zręcznie pyskiem drugi napełniony kielich z tacy, po czym obaj, koń i jego pan, odstawili puste kielichy. Rozległy się brawa.

Lasallewicz zeskoczył z folbluta, którego odprowadzono do szatni. Sam zajął miejsce w rezerwowanej dla niego łoży, gdzie natychmiast obstało go grono wielbicielek i wielbicieli. Na wszystkich stolikach pojawił się szampan. To słynny kawalerzysta podejmował na swój koszt publiczność „Hadriana”, traktując wszystkich jako swoich gości. Rozpoczęła się też szampańska zabawa.

Osiągała ona właśnie kulminację w zaimprovizowanym przez kilka rozbawionych pań kankanie, gdy na salę ponownie wkroczył... ogier pułkownika. Niestety, tym razem zwierzę było kompletnie pijane. Eksperymenty z szampanem najwidoczniej rozsmakowały wierzchowca w trunkach. Jak się później okazało, folblut ukradł szatniarzowi butelkę koniaku (dar pułkownika Lasallewicza). Zadając kłam rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby kieliszek wódki mógł zwalić z nóg dorosłego konia, nie tylko nie zwalony z nóg, ale wręcz rozochocony ogier, po opróżnieniu butelki, wyrwał się z szatni i pomknął szukać rozrywki na sali. Tu rozognionym wzrokiem począł się rozglądać po paniach, nie pozostawiając im żadnych wątpliwości co do swoich intencji. Niepomny nawoływał swego pana, z namiętnym rżeniem ruszył ku jednej z uczestniczek przerwanej teraz kankana. Przerażona dama rzuciła się do ucieczki, a poczuwszy na sobie gorący oddech ścigającego ją rumaka, padła zemdlona.

Nie wiadomo, co stałoby się z damą, gdyby nie moja przytomność umysłu. Wiedziałem, jak silne wrażenie wywiera na koniu terpentyna, jeżeli posmaruje się go w odpowiednim miejscu, jak skutecznie pobudza go ona do natychmiastowego zrywu, nawet jeżeli koń jest krańcowo wyczerpany. Terpentynę jako środek pobudzający stosowali przecież zewnątrz swym wyczerpanym wierzchowcom francuscy kawalerzyści podczas pamiętnego odwrotu w 1812 roku.

Otóż trzeba trafu, że miałem akurat w kieszeni flaszczykę terpentyny, którą nabyłem w drodze do „Hadriana”, aby, nie czując się dobrze, po powrocie z pracy natrzeć sobie tym płynem plecy przed położeniem się do łóżka. Widząc więc nieszczęsną damę w niebezpieczeństwie, błyskawicznym ruchem wyjąłem flaszczykę z kieszeni, zębami odkorkowałem, podbiegłem do ogiera i chlusnąłem terpentyną pod ogon, skacząc jednocześnie przez zad na grzbiet wierzchowca. Rumak zarżał boleśnie, przesadził zemdloną damę i, kwicząc, ruszył między stolikami ku schodom, a schodami ku wyjściu.

Byłem niezłym jeźdźcem, obeznanym z końmi od dziecka, kiedy to jeszcze w Rozłupiu zdarzały się niezłe wierzchowce. Ale tym razem była to jazda na oklep, bez uzdy i wodzy. Tylko grzywę miałem do dyspozycji, a ktokolwiek siedział kiedykolwiek na koniu wie, jak to mało. A jednak nie zleciałem z niego. Jak tajfun przemknęliśmy przez nocne miasto. Na szczęście jezdnie w owych czasach były o tej porze niemal tak puste, jak obecnie. Na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic puścił się za nami w pogoń konny policjant. Ale czym był koń policjanta w porównaniu z pułkownikowym folblutem?

Po długiej, obłądnej galopadzie stwierdziłem ku mej kolosalnej uldze, że zbliżamy się do koszar dowodzonego przez Lasallewicza pułku kawalerii. Do koszar wpadliśmy o mało nie trując wartownika. Tu zostałem aresztowany i zatrzymany do wyjaśnienia sprawy przez dowódcę, który zresztą niebawem nadjechał autem dyrektora Ciechocinera, w jego towarzystwie. Natychmiast zwolnił mnie z aresztu i chwycił w objęcia.

— Jest pan jednym z najwspanialszych jeźdźców, jakich zdarzyło mi się spotkać! — wykrzyknął, ściskając mnie i całując z dubeltówki. — Z kim mam honor?

— Rozłupski — przedstawiłem się pułkownikowi.

— Książę? — zapytał.

— Tak. Maurycy książę Rozłupski — przyznałem.

— Zresztą nie ma innych Rozłupskich, są tylko książęta — wyjaśnił pułkownik Ciechocinero wi, który, będąc już pod wrażeniem mego wyczynu, teraz zaniemówił, oszołomiony moim tytułem. A następnie do mnie: — Mianuję pana honorowym oficerem mego pułku!

Z kolei zwrócił się do dyrektora Ciechocinera:

— Ciechocinku, kochasiu, wracamy do „Hadriana” oblewać tę uroczystą chwilę!

Tego oblewania nie pamiętam dobrze wskutek nadużycia trunków. Trudno było pod tym względem (jak i pod wielu innymi) dotrzymać pola pułkownikowi. Pamiętam tylko, że kiedy mu się zwierzałem z nie odbytej jeszcze służby wojskowej, serdecznie mnie zaprosił do odbycia takowej do swego pułku. Wkrótce też nastąpiła przerwa w mojej pracy w „Hadrianie” (Lasallewicz zresztą nie wiedział, że jestem tam zatrudniony, i to jako fordanser), wypełniona ową służbą.

Wspominam ją jak najpiękniejsze w życiu wakacje. Jako pupilek dowódcy cieszyłem się specjalnymi względami przełożonych. Nigdy nie zapomnę tych pobudek, które trębacz pułkowy grał mi przez tłumik, by nie nazbyt gwałtownie ze snu mnie wyrwać, tych serdecznych ojcowskich upomnień wachmistrza, ilekroć nie wykonałem dobrze jego poleceń, tych pochwał i uścisków, gdy, przeciwnie, spisałem się dobrze, tych awansów szybkich a uroczystych, aż do pierwszej gwiazdki na naramiennikach, tych capstrzyków nastrojowych, urokliwych manewrów, pełnych zdrowego trudu żołnierskiego za dnia, a miłosnego — w nocy...

Tak, bom się znów sprawdził jako kochanek z chłopską dziewczyną, piękną kwaciastą, bufiastą, hafciastą, co konia mego pragnienie gasiła przy studni, a potem — moje, na siana kopie... Ale bo też do Jagusi była podobna kosą pszeniczną, okiem chabrowym, piersią jabłeczną, do Marynówny-Pyciakowej (o Boże!)...

Kiedy po odbyciu służby wojskowej zgłosiłem się na powrót do dyrektora Ciechocinera, ten już mnie nie przyjął na fordansera.

— Nie wypada, żeby książę—oficer reprezentacyjnego pułku kawalerii był tancman — oświadczył. — Jedyne, co mogę księciu zaproponować u mnie, to maître d'hôtel, tym bardziej że tę szuję Chluśniewicza wyrzuciłem przed paru dniami za deprawowanie młodziutkich fordanserek.

Propozycję przyjąłem i wyraziłem chęć wypicia z dyrektorem Ciechocinerem bruderszaftu, ponieważ tytułowanie było mi nie na rękę w stosunkach służbowych.

— Mów mi Ciechocinek — szepnął wzruszony dyrektor, gdyśmy wymienili sakramentalne pocałunki.

Praca w „Hadrianie” na nowym stanowisku była wygodniejsza, mniej męcząca i znacznie lepiej płatna. Tak że mogłem sporo zaoszczędzić z mojej gaży i posyłać część pieniędzy matce do Rozłupia, nie ujawniając zresztą, jak i poprzednio, źródła moich dochodów. Nie danym mi było wszakże długo zachować go w tajemnicy.

Nadeszło lato owego pamiętnego roku. Lato upalne i piękne, a jednak skażone atmosferą przygnębiającego wyczekiwania na coś nieuniknionego, grozą zbliżającego się nieuchronnie kataklizmu. Nie zapomnę snu, jaki przyśnił mi się owego lata i na zawsze zapadł w pamięci złowrogą wróżbą.

Oto widzę się w samym sercu miejskiej kanikudy. Ze stopami zanurzonymi po kostki w rozmiękłym asfalcie jezdni stoję pośrodku tego wyschniętego koryta dawnej rzeki pojazdów i rozglądam się wokół przesłoniętymi dłońmi żrenicami. Gdzie wzrokiem sięgnąć — wyschnięte budki sodowe, puste stragany po soczystych owocach, herbaciarnie pełne pary z wygotowanych samowarów, wypite do ostatniej kropli piwa piwiarnie, z drzemiącymi na ich progach piwoszami o gigantycznych, napęczniałych brzuchach. W bramie jakiejś kamienicy stróż w granatowej maciejówce ssie chciwie węża gumowego do polewania ulicy — ssie na próżno. Czasem żabkę zeń wysię wyschniętą, by spluć ją z niesmakiem.

Trawiony dotkliwym pragnieniem, wlokę się w kierunku rzeki. Ale i ona błagalnie patrzy w bezchmurne niebo oczodołami wysychających kałuż. Z okien mijanych domów płynie za mną jęk odkręconych kranów, których już nie ma po co zakręcać. Na ławkach nadbrzeżnego bulwaru wyschnięci czytelnicy prasy codziennej nie mają już czym zwilżać palca, by przewrócić stronicę czytanej gazety. I tak trwają, z rozpaczą nie zaspokojonej ciekawości w oku, równą rozpaczą nie zaspokojonego pragnienia. Idę mostem o zwiędłych przęsłach, wrośniętym korzeniami słupów w jałowe dno rzeki. Dobiegają mnie ryki spragnionych zwierząt z pobliskiego zoo. Błąkam się po nim w nadziei spotkania wielbłąda, pomny pouczających lektur o zapasie wody, które zwierzę to zdolne jest przechowywać w swym organizmie. Ale kiedy natrafiam na jednego z tych ssaków, okazuje się, że jest już wypity przez pracowników zwierzyńca...

Wracam na lewy brzeg, w kręte zaułki staromiejskie. Aż wreszcie, po długiej wędrówce, odkrywam, o radości, starą studnię! Z paszczy kamiennego lwa tryska strumień krystalicznej wody, którą pije pochylona postać w czarnym sakpalcie i czarnym meloniku zsuniętym na tył głowy. Czekam pełen nadziei, aż ów osobnik zaspokoi pragnienie. Ale trwa to bez końca. Co więcej, ku memu zdziwieniu, pod owym człowiekiem tworzy się coraz większa kałuża źródlanej wody.

— Pan przecieka — informuję go sarkastycznie, tracąc cierpliwość. — Albo udaje pan, że pije.

Postać prostuje się i odwraca ku mnie, a ja... drętwieję z przerażenia. Jest to szkielet. Z jego szczęki spływają krople studziennej wody na odsłonięte w rozchyleniu palta zebra... Budzi mnie mój własny krzyk.

*

Pewnego wieczoru u schyłku owego lata zajęty byłem, jak zresztą co dzień, rozlokowywaniem przy stolikach i w łóżach co znamienitszych gości. Mimo atmosfery złych przeczuć, kładącej się cieniem na codziennym życiu dni owych, biegło to życie zwykłym swym nurtem, a ludzie nie stronili od rozrywki. Przeciwnie, garnęli się ku niej ci, co ich stać na nią było, a „Hadrian” i w dni kanikuły gromadził komplety przy stolikach. Wzrok mój przykuła w pewnej chwili kolejna wkraczająca na salę para. Dama była nobliwą, starszą panią w pięknej wieczorowej tualecie, która się harmonijnie srebrzyła przy siwiejących włosach właścicielki. Obok kroczył, młodszy dużo od swej towarzyszki, mężczyzna, jakby rozsadzający smoking muskularnym torsem. Czerwonawa twarz i także ręce zdradzały wiejskie pochodzenie młodego człowieka. Dama na mój widok wydała okrzyk radosnego zaskoczenia:

— Maurycy!

— Maman! — odpowiedziałem podobnym okrzykiem, gdyż była to istotnie moja odmieniona i odmłodzona matka.

— Co ty tu robisz? — zapytała księżna matka po naszym serdecznym powitaniu, któremu życzliwie, acz z dystansem przyglądał się pan Konopas (bo jego to zidentyfikowałem w tym niecodziennym dlań stroju).

— Usiądźmy najpierw. Potem wszystko mamie opowiem

— Konopasiu — zwróciła się księżna do swego partnera. — Chłodno mi tutaj. Skocz no, mój drogi, po etolę.

— Za pozwoleniem księżnej pani, etola została w Rozłupiu... — bąknął Konopas.

— No, właśnie — zgodziła się matka moja. — Skocz więc do Rozłupia.

Konopas jeszcze bardziej, o ile to możliwe, poczerwieniał na licu, stał chwilę niezdecydowany, ale opanował się najwyraźniej, skłonił się mamie i mnie, po czym bez słowa zawrócił ku wyjściu. Próbowiałem stanąć w jego obronie.

— Czy maman nie przesadza? Do Rozłupia szmat drogi...

— Cóż to znaczy dla automobila? — Uśmiechnęła się, zajmując miejsce przy stoliku, do którego ją zaprowadziłem.

— Konopas jest świetny chauffeur. Zrobiłam to zresztą celowo, żebyśmy mogli swobodnie pogawędzić. Co u ciebie, Momo? Jak mogłeś tak długo nie odzywać się do matki?

— Przyznam, że choć zbierałem się do tego od dawna, nie mogłem się zebrać, żeby szczerze napisać, maman...

— O czym? — spytała księżna matka, nie mogąc się doczekać ode mnie końca urwanego zdania.

— O tym, że jestem tu... maître d'hôtel.

— Boże! W tej knajpie?!

Dawniej po takiej wiadomości matka niewątpliwie zemdlałaby. Teraz mimo wstrząsu, jakiego doznała, daleka była od utraty zmysłów. Świadczyło to o zmianach wewnętrznych, jakie nastąpiły w niej wraz z zewnętrznymi.

— To nie knajpa maman, to najlepszy lokal stolicy — sprostowałem łagodnie.

— Wszystko jedno. Mój syn... maître'em d'hôtel! — Nie posiadała się z oburzenia, cokolwiek może sztucznego.

— A przecież pisałeś mi swego czasu, że żenisz się z milionerką?

— Niestety, nie doszło do tego...

Przywołałem kelnera i kazałem mu podać, tak przez mamę ulubiony, peppermint. Sącząc przez słomkę zielony płyn, w którym pływały bryłki lodu, wyrzuciłem z siebie:

— Och, maman! Dlaczego wlecze się za mną to pasmo upokorzeń? Najpierw uroda moja i tytuł robią furorę u tych samych dam, które potem... śmieją się ze mnie lub płaczą z mego powodu!

Z głęboką serdeczną troską wpatrywała się we mnie, a po chwili szepnęła współczująco:

— Kto wie, czy to nie dziedziczne, mój biedaku...

— Jak to! — zachnąłem się był. — W końcu rodzimy się jakoś. — Ale coraz... mniejsi — westchnęła ś. p. j. o. księżna, rodzicielka moja, i popadła w smutną zadumę, z której ocknęła się była po chwili. — A Jagusia? Przecież z Jagusią ci.... tego... ten?

— Och, tak! — rozpromieniło się we mnie wspomnienie. — Z Jagusią... jak najbardziej! Z Jagusią... ze wszech miar! Ona jedna była zdolna uzdolnić mnie, maman. Wiejska, zgrzebna, parciana, hoża dziewoja. Ona jedna. W kwiciastej spódnicy, chuście wzorzystej, serdaku hafciastym, bluzce bufiastej, na łące pod borem... Hej!

Nie kłamałem mówiąc, że ona jedna. Bo to naprawdę — tylko ona, chociaż i pod inną czasem postacią, np. dziewczyny owej, co mi konia na manewrach poła...

— Ty chyba wciąż jeszcze ją kochasz, Momo... — zasuponowała pieszczotliwie ś. p. j. o. — Ale skoro tak dobrze cię wiejska dziewczyna usposabia, to przyjedź do Rozłupia, za inną się rozejrzyj. Nie musisz się zaraz żenić, jak z Jagną chciałeś. Może to właśnie we łbie jej przewróciło. A jak przyjedziesz, inne zobaczysz Rozłupie, nie do poznania. Po śmierci nieodżałowanego świętej pamięci jaśnie oświeconego księcia męża i ojca naszego szybko dźwignęliśmy z Konopasem Rozłupie. Z prostych on chłopów, ale szkoły rolnicze pokończył i świetnie, nowoczesnie gospodaruje. A i uprzemysłowił Rozłupie gorzelnią. Cały powiat rozpiliśmy naszą okowitą, synku.

Duma i wdzięczność tkliwa dla pana Konopasa zabrzmiały w głosie mej matki, gdy mi te pomysły nad wyraz przekazała wieści.

— A jak tam mój mały? — spytałem, bo nagle przypomnienie drogiego Morysia czułością mi serce przepełniło.

— Rozkoszny bobas z niego. Zdrowiutki — uśmiechnęła się księżna babka i dorzuciła leciutko zatroskana: — Tyle że rosnać — nie rośnie. Ale przyjedź, Momo, to się ucieszy. „Tato!” zawoła, rączki wyciągnie.

— Pewnie, że przyjadę, maman. Tylko... czas jakiś się zrobił niepewny...

Przybladła mać księżna i w oczy mi spojrzała oczami, co się w nich niepokój pojawił. Niepokój o owe kwitnące Rozłupie, o Konopasa, rolnosprawnego plonobiorcę, o mnie, być może, też odrobinę, com się teraz mym wciąż nie rosącym synkiem zasromał.

— Myślisz, że może się coś zacząć, Momo?

Zaczęło się nazajutrz o świcie, gdy sprzed „Hadriana” ruszył austro-daimler, którym pan Konopas uwoził ś. p. j. o. księżną matkę moją w dal rozkrzyczaną jękami alarmowymi syren. i już nie dane mi było zobaczyć kwitnącego Rozłupia, mnie, com tylko w ruinie i upadku je widział.

Zamilkł snujący opowieść Maurycy Rozłupski. Zmęczony był opowiadaniem, a też i odrobinę wypita czystą, której zawartość w butelce poważnie się zmniejszyła. Natomiast słuchacz jego, wierny, starszy kelner Kuciepa Kacper, trwał nadal w niezmienionej pozycji stante pede*, ze wzrokiem na ustach narratora zawisłym. Toteż spojrzeniem pełnym ciepłej, serdecznej wdzięczności ogarnął go Maurycy Rozłupski pytając, raczej dla zachowania nienaganych form towarzyskich, jakie mu były właściwe:

— Ale czyja pana nie nudzę już tym opowiadaniem?

— Skądże! — zachnął się zapytany. — Widzi pan przecież, że klienci od sąsiednich stolików znaki mi dają, nierzadko w obcych językach mnie wabiąc, a ja nic, tylko cały w słuch przemieniony, dla pana jedynie.

— To prawda. Cudownie pan słucha — przyznał były książę. — Nie pierwszy to raz zresztą stwierdziłem. A że bliskim stał mi się pan przez to, jeszcze bliższym niż wspólne wspomnienia z dzieciństwa to czynią, pragnąłbym panu zaproponować bruderszafty... Pardon... przejeździłem się. Bo, wie pan, dawniej, by przejść na „ty” z księciem, nie wystarczył jeden bruderszaft Trzeba było wypić co najmniej dwa, a z członkiem rodu panującego — trzy: z „waszej książęcej mości” na „księcia pana”, z „księcia pana” na „pana” i wreszcie z „pana” na „ty”. Teraz, oczywiście, jeden to aż nadto.

— Głęboko wzruszająca i zaszczytna to dla mnie propozycja, której nie przyjąć nie jestem w stanie — odpowiedział pan Kacper. — By ją atoli urzeczywistnić, muszę na chwilę odejść, przepraszając pana za krótką mą nieobecność.

Oddalił się. Sala tymczasem zapełniła się gośćmi po brzegi. Temu i owemu z wcześniej przybyłych już nawet z czuba się kurzyło, przy barze ktoś nawet dojrzał już na tyle, by spaść ze stołka, a tłok powstały utrudnił Maurycemu zorientowanie się, czy spadł on sam z siebie, czy też z chęci bliźniego czynem popartej. Spadłego zresztą służba porządkowa szybko usunęła i zabawa błyskotliwie potoczyła się dalej, gdy do stolika Rozłupskiego podszedł wytworny pan w nienagannie skrojonym garniturze w miejsce niedawnego, służbowego fraka.

— Czy mnie wzrok myli, czy przebrał się pan, panie Kacprze? — Rozłupskł mrugał zdziwionymi oczami.

— Nie mógłbym, będąc na służbie, wypić z panem bruderszaftu — oświadczył tamten, przysiadając się. — I dlatego wymówiłem im.

— Co takiego? Zrezygnował pan z posady, żeby wypić ze mną na „ty”? — Roztwór zdumienia w podziwie zaszklił wzrok byłego arystokraty.

— Tak. I, na siedząco już, posłuchać dalszego ciągu opowiadania pańskiego, panie Maurycy — uśmiechnął się Kuciepa, po czym dorzucił pogardliwie: — Zresztą, co to za posada! Co oni mi tu płacą! A w nowo otwartym „Carltonie” będę miał do czynienia z samymi dewizowcami. Mówię to jako hobbista, jeżeli chodzi o obce języki, których znam kilka... Jasiu, podaj no butelkę courvoisier VSOP!

Zamówienie zwrócone było do byłego kolegi pana Kuciepy. Bowiem tak uroczysty bruderszaft wypić można było tylko tak zacnym trunkiem. Zawartość pękatej, ciemnozielonej, opalizującej butelki uczyniła braterski toast aktem wzniosłym i tkliwym dla serca oraz podniebienia.

— A teraz znów w słuch się przemieniam. Opowiadaj dalej, Maurycy — prosił spowity w błękitne dymy cygara, były kelner „Hadriana”, a przyszły... „Carltona”. — Opowiadaj o twoich wojennych losach, a też i o tym, co potem się z tobą, w Ludowej już, działo.

Na prośbę towarzysza zamierzających wakacji podjął Maurycy przerwany wątek swej opowieści.

Wojenne moje losy nie są na tyle ciekawe, by mogły konkurować z tylu o ileż barwniejszymi życiorysami tego okresu, pełnymi przygód i bohaterskich czynów. Krótka, tragiczna kampania upamiętniła mi się zwłaszcza heroiczną śmiercią pułkownika (a wtedy już generała) Lasallewicza. Był on równie bohaterskim żołnierzem i wspaniałym dowódcą czasu wojny, co niepoprawnym i malowniczym bon viveur* czasu pokoju. Ja w oflagu przebywałem wojenne lata, a tęsknota, która mnie tam trawiła okrutnie, nie była zwykła tęsknotą za wolnością. W nocie bezsenne i senne jawiły mi się niezmiennie przed oczami: łąny, rozłęki, łąki i knieje... Nigdy — miastowe bruki. A na tle pól pozłocistych, rżysk płowych, dróg szronem srebrzonych lub deszczem rozmokłych, na tle śniegów i traw kwitnących dziewczki śmigwały w zapaskach, w kieckach furkoczących, chustach rozwianych, z piosenką i śmiechem na ustach, Jagusie bujne, kraśne, pierśne, rozbiodrzyste, niezapomniane...

Toteż gdy tylko pierwszą wolnością powiało, ruszyłem, czym tylko mogłem, a nogami zwłaszcza, ku łanom moim ojczystym, ku rodzimemu Rozłupiu. Mknąłem, dążyłem, brnąłem i szedłem, aż pod skowronki wysokie zaszedłem, pod tęcze jak bramy radosne, powitalne, między łany czołgami stratowane, a już kłós dźwigające w górę — ku słońcu Nowej Rzeczywistości. Idę ja, idę, a już znajomą bliskość, poblizę Rozłupia w krajobrazie wyczuwam i potwierdzam radośnie bijącym sercem. Aż tu na trakcie, co ode młyna borem zakręca, na tymże zakręcie dalekim jeszcze postaci dwie widzę, a jedna cosik popycha przed sobą. I tak idziemy naprzeciw siebie, postaci coraz to większe, kobieta i mężczyzna... teraz już widzę wyraźnie: wózek dziecięcy mężczyzna popycha, oboje objuczeni tobołami jakimiś, sakwami, ona w chustce na głowie? la paysanne, ręką oczy przysłania od słońca i w moją stronę spogląda... Jezu, Maryja! Księżna! Mama moja!

— Maurycy! — głos słyszę z tamtej strony, wiatrem jeszcze tłumiony, ale już całkiem wyraźny, bliski.

Biegniemy ku sobie z rozpostartymi ramionami, w objęcia się chwytny. Mama ma na sobie kilka warstw przyodziewku, a obejmując ją i tuląc, co rusz to na coś twardszego w jej stroju natrafiam, w fałdach, zaszewkach, dublurach zaszytego...

— Dokąd, synku? Dokąd? — z głęboką troską zapytała matka, gdy naściskaliśmy się i wyściskali.

— Do Rozłupia, mamó! Och, nie masz pojęcia, mamuleńka, jak ja tęskniłem „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych... do tych pól malowanych...” — zacytowałem serdecznie

— Rozparcelują ci te pola, Momo — przerwała mi ś. p. b. j. o. księżna. — Więc też postanowiliśmy z Konopasem puścić się w drogę, póki czas. Z tytułów pozostał mi już tylko jeden — tytuł do szczęścia, zresztą nie mniej ważny. Chyba poradzimy sobie na świecie. Prawda, mój Konopasku?

— Prawda, księżno pani — odpowiedział objuczony Konopas. Z niepokojem rozejrzała się księżna, choć wokół szczerze pole.

— Pssst! — zgromiła wzrokiem towarzysza. — Nie tytułuj mnie! — Po czym znowu zwróciła się do mnie: — A ty, Momo, nie przyłączyłbyś się do nas?

— Nie, maman. Nie po to wracałem, żeby zawracać. Duma, ciut ciut ulgą jak gdyby zaprawiona, zabrzmiała w głosie matki mojej, gdy rzuciła panu Konopasowi:

— On, w gruncie rzeczy, zawsze był taki: patriota, ludoman. — I do mnie: — No, to zabieraj swojego słodkiego bobaska, Momo, bo z dzieckiem ciężko by nam było podróżować w tych czasach, i pobłogosław matkę na drogę.

Pan Konopas pchnął lekko wózek w moją stronę. A tam na dnie — maleństwo moje, nic a nic przez te lata nie zmienione, rączkami zatrzepotało, usteczkami bezzębnymi roześmiało się rozkosznie, zagaworzyło:

— Aaaaa... eeeee... glu... glu... glu.

— Nie rośnie, kruszynka moja... — szepnąłem rozrzewniony, w nóżkę go pulchną całując. — Nie rośnie.

Ale oto już księżna mać na klęczkach, na błogosławieństwo moje wystawiona, więc pobłogosławiwszy ją tkliwie, dłoń ściskam Konopasowi, mać się z kolan podnosi, oboje nad wózcikiem się pochylają: „Zrób pa babuni! Zrób pa Konopaskowi!”. Matka coś wysupłuje, wypruwa z fałdy — zaszewki zielone jakieś, szeleszczące, w dłoń mi wsuwa...

— Masz, synku, zagospodarowywuj się w ojczyźnie twojej, już nie naszej, nie wspólnej...

I maleją mi w oczach oboje, ona wysoka wytworna, a on przysadzisty, juczny, przygarbiony... Malusieją, maciupieją, aż zmalusieńczeją doszczętnie, wsiąkną w horyzont dwie ludzkie kropelki dawnego bytęgo — niebyłego...

Rozłupie nie zostało rozparcelowane. A to dlatego, że chłopstwo okoliczne, wyjątkowo bogate, w ziemię było zasobne. Po prostu: całe wsie „kułaków”, jak potem pejoratywnie tego typu gospodarzy określano. Na terenie byłego majątku Rozłupskich powstał więc Zespół Rolno–Spożywczy Rozłupie. Dziś o wytwory PGR Rozłupie zabijają się klienci w całym kraju. Wtedy nie zanosilo się w ówczesnym Rolno–Spożywym Zespole na sprawną, skuteczną gospodarke.

Bo też i dobór ludzi był przypadkowy, loteryjny, z obrotowego bębna wojny i okupacji na teren rozłupski wysyłanych. Pewien urzędnik byłego Ministerstwa Rolnictwa wraz z kilku bezrolnymi z odległych województw tworzyli kadrę fachowców. Poza nimi byli tam ludzie z rolnictwem nic wspólnego nie mający prócz skłonności do pewnych produktów zbożowej fermentacji. Mnie przyjęto w charakterze animatora życia kulturalnego w zespole, którą to funkcję można by porównać do pozycji późniejszych tak zwanych k. o. Animowałem, jak umiałem, i wkrótce wszyscy niemal pracownicy rolno–spożywczy znali pewną liczbę zwrotów w języku francuskim, które udało mi się im przyswoić, jak również posiadli znajomość tańców salonowych, a zwłaszcza tanga, którego mistrzem byłem w czasach pracy w „Hadrianie”.

Niestety, ludzie, którzy tak chętnie garnęli się do tańca i nauki języków obcych, nie odnosili spektakularnych sukcesów w gospodarce rolnej. Widok rozłupskich upraw mógł nawet niefachowcowi nasunąć wątpliwości co do agrarnych poczynań, a fachowcowi dostarczyć materiału do poważnych zarzutów pod adresem kierownictwa zwłaszcza. Lada pojawienie się więc czynnika kontrolnego groziło katastrofą ludziom, którzy może niepotrzebnie jęli się gleby, ale z którymi trochę się zżyłem, więc źle im nie życzyłem.

A pierwsze żniwa w Rozłupiu zapowiadały się złowroźnie. Cztery zboża podstawowe nie wyrosły bowiem oddzielnie, a w przedziwnej pszenno–żytnio–owsiano–jęczmiennej mieszance. Toteż w przededniu košby kierownik zwołał naradę pasywu (aktywem tego nie można było nazwać w żadnym razie) w celu ustalenia sposobu segregacji zbóż: segregować je w kłosach, czy w wymłóconym już ziarnie? Za pierwszym sposobem przemawiał argument, że zboże w kłosach łatwiejsze jest do odróżnienia, za drugim, że łatwiejsze do manipulacji, bo bez słomy. Dyskusja jednak między zwolennikami obu sposobów, zamiast nabierać rozpędu, słabła z minuty na minutę, aż wygasła zupełnie w obliczu tego na miarę Kopciuszka zadania. Zebranie pasywu zakończyło się bez żadnych konkluzji.

Ja w dyskusji głosu nie zabrałem. Wrodzona nieśmiałość uniemożliwiała mi zawsze publiczne przemawianie. Ale słuchając ospałych debat, wpadłem na pomysł, którym postanowiłem się podzielić z kierownikiem zespołu. Był to ów były urzędnik byłego Ministerium Rolnictwa, niejaki Zemździński. Zgłosiłem się do niego zaraz po zebraniu, kiedy zrozpaczony jego przebiegiem zamknął się w swojej kancelarii z sekretarką, koleżanką Furdajewicz. Kiedy wszedłem, kierownik Zemździński miał łzy w oczach, a koleżanka Furdajewicz zapinała bluzkę.

— Jestem w rozpacz, kolego Rozłupski — wybuchnął na mój widok, nalewając samogonu do dwóch musztardówek.

— Koleżanka Furdajewicz pociesza mnie, jak może, ale niełatwo jej to przychodzi... Może się napijecie?

— A mnie się wydaje, że znalazłem wyjście z tej, trzeba to przyznać, istotnie paskudnej sytuacji, obywatelu kierowniku — oświadczyłem, biorąc z biurka pełną musztardówkę.

— Nie może być! Gadajcie! — zawołał kierownik, rozciekawiony z punktu. — Wypłuczcie, Sabina, kałamarz, to i wam należy.

Furdajewicz wyszła płukać kałamarz, a ja wychyliłem musztardówkę dla kurażu. Samogon na chwilę odjął mi mowę, ale skoro tylko puścił paraliż dolnej szczęki, zacząłem wyklądać kierownikowi Zemździńskiemu mój plan.

— Na terenie Rozłupia można stworzyć swoisty skansen — mówiłem. — Miałoby to być niejako muzeum — relikwiarz przeszłości obszarniczej — wskazujące zwiedzającym, jak zacofana i niesprawiedliwa ona była. Oto pałac się ukazuje wycieczce, a w nim dziedzic do późna się wyleguje z dziedziczką, by wreszcie koło południa, po sytym śniadaniu, obsłużony przez służbę uniozoną, w pole bryczką wyjechać. Tam ludziom pracy białą rączkę do całowania wystawia. A ludzie zmordowani do siódmych potów, bo nad nimi ekonom od świtu batogiem poświstuje, czasem też dziewczkę jakąś ładną do krzaków ciągnie na sromotę i znieprawienie. A że nie na swoim, na pańskim chłopcy pracują, to i gospodarka, mimo groźby ekonomy, pożał się Boże! Uprawy marne, ziarno pomieszczone, zboża poplątane, chwasty, maki i kąkole, że w oczach aż czerwono i fioletowo od nich...

— Rozłupski — przerwał mi radośni kierownik Zemździński, zachwycony moim pomysłem. — Wy mnie do życia przywracacie! Wyście moją deską ratunku! Wyście...

Otworzył szeroko ramiona, by mnie pochwycić, ale że akurat weszła Furdajewicz z wypłukanym kałamarzem, ją pochwycił zamiast mnie i ją ścisnąć, całować, rozpinać itp.

— Sabina — krzyknął między uściskami. — Skansen założymy! Ja będę dziedzicem, oczywiście na niby. Odegramy przed wycieczkami, jak dawniej było na wsi obszarniczej!

Nie bardzo zrazu mogła się koleżanka połapać, ale w miarę naszych tłumaczeń, po dwóch kałamarzach samogonu zrozumiała. Nie podzielała ona jednakowoż entuzjazmu kierownika Zemździńskiego dla mojego projektu. A kiedy ten, by ją do owego entuzjazmu pobudzić, zadał jej jeszcze dwa kałamarze, zeszytniała jakoś, zaniemówiła tak, żeśmy ją z kierownikiem niby deskę do prasowania o ścianę oparli, a sami — dalejże naradzać się nad szczegółami przedsięwzięcia. Po czasie jakimś zmiękła Sabina dziwnie, obsunęła się w kucki, pod ścianę, śpiąca jak gdyby. A myśmy z kierownikiem doszli do wniosku, że skansen taki u władz trzeba zatwierdzić i osobiście będę w tym celu wydelegowany do stolicy, na rozmowę z Pełnomocnikiem do Spraw Rolno-Spożywczych Zespołów.

Po ciężkim odchorowaniu licznych musztardówek bimbru, jak tylko, troskliwie pielęgnowany przez kierownika, wydobrzałem, wyprawilem się do stolicy.

Szedłem przez pobojowisko miasta i stopniowo, poczynając od serca, tajałem na widok znajomej topografii. Godzina była późna, urzędy dawno pozamykane. Ani się obejrzałem, kiedy nogi zaprowadziły mnie na miejsce, gdzie niegdyś płonął rześisty neon „Bar Dancing Hadrian”. Na ocalałej (o dziwo!) elewacji częściowo jedynie wypalonego budynku, nieudolnie wymalowany na desce napis głosił: „Zaranie” — Punkt Zbiorowego Żywienia i Tańców Towarzyskich.

Popychany przez jakąś tłoczącą się u wejścia grupę wycieczkową, przez znany mi, usiany teraz odpryskami po pociskach westybul, a potem w dół po znajomych, obłupanych schodach, znalazłem się w sali dawnego dancingu. Ta sama to była sala i zarazem nie ta sama. Bo kształt ten sam, te same zarysy parkietu, łóż, wnęki orkiestrowej... Ale urządzenie w niczym nie przypominało dawnej elegancji „Hadriana”, a publiczność — tamtej sprzed lat ośmiu czy dziewięciu. Swetry i zmięte garnitury, spodnie długie i buty z cholewami, bluzki i żakiety, fryzury i chustki na głowach, fufajki i battle-dressy tańczyły, siedziały przy barze, snuły się wśród równie jaskrawej zbieraniny stolików i krzeseł wszelkich rodzajów i stylów, od ludwików po kuchenne stołki.

Nastrój panował tu niewymuszony, a zabawa toczyła się żywiołowo, mimo iż na skraju parkietu sterczał do połowy weń zagłębiony ogromny pocisk moździerza kolejowego, a napis na nim ostrzegał: „Do czasu rozbrojenia niewypału zabrania się tańczyć tańców skocznych”. W miejscu, gdzie kiedyś przy szampanie dyrektor Ciechociner zaproponował nam z Mimi pracę w „Hadrianie”, dwóch facetów czerwonych od trunków trzymało się w serdecznym uścisku, przy czym jeden z nich dla utrzymania równowagi dodatkowo opierał się ręką o kotlet w talerzu drugiego. Opodal zaś na pustym (orkiestra akurat nie grała), pełnym

powybijanych klepek poprzecznie dwóch antagonistów trzymało się za klapy marynarek, póki jeden z nich potężnym bykiem nie zwałił z nóg drugiego, dokładnie miejscu, w którym Mimi po raz ostatni kończyła swą piosenkę.

Przy barze, tam gdzie baronowa S. gratulowała mi sukcesji po zmarłym małżonku, błądy osobnik w nieokreślonym stroju wymiotował w kieszeń rozpiętej marynarki sąsiada, który zbyt był zajęty utrzymaniem w równowadze swojej partnerki, by na to zwrócić uwagę. Siedziała ona z trudem na jedynym chyba pozostałym z wyposażenia dawnego baru wysokim stołku. Po połupanych stopniach schodów fagas wywlekał za nogi nieprzytomnego zabawowicza, którego głowa stuknęła o stopnie pożegnalnym morsem.

Młodzieniec w zniszczonym garniturze tenis i rozchełstanej pod szyją koszuli przerwał moje rozmyślenia, popychając mnie w kierunku grupy, z którą wszedłem na salę. Najwidoczniej brał mnie za uczestnika tej właśnie wycieczki.

— Proszę się nie rozchodzić, zanim nie objaśnię! — skarcił mnie i natychmiast przeszedł do wykładu. — Oto, proszę wycieczki, znajdujemy się w przedwojennym centrum zgnilizny! W tym bowiem pomieszczeniu funkcjonował w latach trzydziestych luksusowy lokal nocny, w którym przedstawiciele wielkiej finansjery i obszarnictwa przepuszczali na nocne hulanki część wartości dodatkowej zagrabionej ludowi. Dziś bawi się tu i wypoczywa świat pracy. Tam, gdzie dawniej wystawiały swe ciała na sprzedaż różne tak zwane fordanserki, dziś bawi się kobieta pracująca. A na parkiecie, gdzie przedwojenne tango łączyło w lubieżnym uścisku bogatego rozpustnika z kosztowną, niedostępną dla szerokich mas kurtyzaną, dziś zatańczcie wy, pracownicy... Przepraszam, jak nazwa zakładu pracy?

— Rolno-Spożywczy Zespół Rozłupie — odpowiedziałem, ale już nie słuchałem dalszego ciągu przemówienia przewodnika.

Od strony toalet, przecinając ukosem parkiet, z których już wygarnięto owych dwóch antagonistów, szła... Nie, przecież nie mogłem się mylić! Ta sama buzia o rysach regularnych i ustach zmysłowych, jeno już z innym wyrazem powagi jakby i dostojności, ta sama smuga włosów słonecznych, jeno w skromny, gruby warkocz upiętych i na plecy surowo puszczonej. Ta sama kształtów bujność, jeno już nie buchająca kwiciaście, bufiaście, wzorzyście, a surowo poskromiona białą bluzeczką i granatową spódnicą.

— Jaguś! — wykrzyknąłem, na nic niepomyślny, i na parkiet skoczywszy, drogę idącej przeciąłem.

Drgnęła na to imię ustami mymi wyrzucone, przystanęła i obrzuciła mnie zdumionym spojrzeniem. Ale spojrzenie to natychmiast chłodnieć i surowieć zaczęło, aż pod jego dotknięciem zgasł uśmiech zachwyty na moich ustach.

— Chyba bierzecie mnie za kogoś innego. — Tak kategorycznie i oschle powiedziała zaczepiona, że całkowicie już zbity z pantafyku bąkać począłem:

— Przepraszam panią... Oczywiście... za kogoś innego przez to podobieństwo... ośmieliłem się... Głowę bym dał w pierwszej chwili, że to...

— A szkoda by było głowy, bo miło się prezentuje... — przerwała mi, nieco udobruchana jawnym moim zakłopotaniem.

— Przepraszam, najmocniej przepraszam...

Kajałem się jeszcze słowem i miną, a ona już odeszła ku pobliskiemu stolikowi. Cekał tam na nią mężczyzna zwałisty, z mocno już szpakowatą czupryną, o twarzy przystojnej, otwartej, mocnej, o rysach ciosanych bardziej niż cyzelowanych. Najwidoczniej zwierzchnik damy, nadrzędna jakaś postać, bo w jego sposobie bycia żadnego nadskakiwania towarzysze nie było. Rozmawiali krótko, w moją stronę popatrując, a po chwili, gdy ja już ku barowi się kierowałem, ona do mnie podeszła.

— Zdaje się, żeście z jakiegoś Rolno-Spożywczego Zespołu?

— Tak jest. Z Rozłupia — odparłem.

— Ach. Z Rozłupia — powtórzyła obojętnie. — Może byście zechcieli się do nas przysiąc na chwilę. Towarzysz mój interesuje się zespołami.

Tuż po chwili ścisnąłem potężną dłoń zwalistego mężczyzny.

— Wierzba–Drut — przedstawił on mi się.

— Rozłupski — ja jemu.

— Siadajcie. — Wskazał mi miejsce między sobą a sobowtórem Jagusi.

— Obywatel Rozłupski jest członkiem Zespołu Rozłupie, towarzyszu — wyjaśniła moja sąsiadka, a sposób, w jaki zwracała się do Wierzby–Druta, świadczył o jego wysokim na pewno stopniu służbowym.

— Cóż za dziwna zbieżność nazwiska z nazwą miejscowości — rzekł tamten.

— Bo też i stamtąd pochodzę — przyznałem się bez ogródek. — Przewyciężam z powodzeniem moją obcość klasową jako syn byłych obszarników z tegoż Rozłupia, Rozłupskich herbu Półkrzyżak.

— Półkrzyżak? — zdziwił się mój rozmówca. — Dlaczego nie cały?

— Mój przodek, Łupko z Rozłupia — ciągnąłem — rozłupał pod Płowcami Krzyżaka na dwie równe części, wzdłuż, komtura von Gildenkranz. Stąd nazwa herbu nadanego przez króla Łokietka.

— Przodek wasz, trzeba przyznać, nieźle łupał — pochwalił Wierzba— Drut mego antenata. — Na swoim etapie dobrze spełniał obowiązki wobec ojczyzny. A wy podtrzymujecie, jak słyszę, jego tradycję, pracując na gruzach feudalizmu. To znaczy, orząc je i zasiewając. A ile też wyciągacie z hektara w tym Rozłupiu?

Powiedziane to było z miłym uśmiechem, więc i ja się odśmiechnąłem, aczkolwiek zakłopotany nieco pytaniem.

— Prawdę mówiąc, to ja osobiście nie wyciągam... Nie jestem fachowcem w sprawach rolnych. Pracuję na niwie, ale raczej kulturalnej, ucząc moich kolegów tańców salonowych i języka francuskiego.

— Tańce, jakie tańce, ale po diabła im francuski? — zaciekawiał się Wierzba.

— To jedyne dziedziny, w których czuję się kompetentny, wyznałem. — Innych obcych języków nie znam. Zresztą francuski może się im przydać, na przykład w dyplomacji, jeżeli się okaże, że w rolnictwie nie ma dla nich przyszłości na skutek, dajmy na to, braku uzdolnień w tym kierunku.

— Więc nie są to zawodowi rolnicy? — Mój interlokutor wymienił krótkie, porozumiewawcze spojrzenie ze swą milczącą jak zaklęta towarzyszką.

— Prawdę mówiąc, nie są... na ogół — przyznałem.

— A jakie macie osiągnięcia w gospodarce? — padło pytanie, na które odpowiedziałem wymijająco.

— Może nie takie, jakich by należało się spodziewać. Powstał jednak plan innego wykorzystania Rozłupia, z pożytkiem dla kraju.

— Jakież to plan?

W pytaniu Wierzby zabrzmiał sceptycyzm. Jednak zainteresowanie ze strony przypadkowo napotkanego człowieka sprawami zespołu wydało mi się tym razem zbyt daleko posunięte, więc uciąłem rozmowę stwierdzeniem, że to jest właśnie przedmiotem mojej delegacji do pełnomocnika i tylko jemu jestem obowiązany plan ten przedstawić.

Orkiestra zagrała tango, a refrenista zaśpiewał: „Czy pamiętasz o letniej przygodzie?...”

W ślad za słowami refrenisty wzrok mój padł na towarzyszkę Wierzby, który właśnie zwrócił się do niej:

— Zatańczymy, Jagoda?

Skłoniłem się jej i jemu, a on rzucił mi na pożegnanie:

— Do rychłego zobaczenia. Cześć!

Słowa te zastanowiły mnie, ale nie na długo. Zbyt byłem poruszony spotkaniem z panią Jagodą, które tak żywo obudziło we mnie wspomnienie Jagusi, by dłużej analizować słowa Wierzbę. Bo przecież jej fizycznej obecności nie zastałem w Rozłupiu i okolicach (nikt nie wiedział, co się z nią dzieje, odkąd męża, Pyciaka, na wojnie straciła, a stary Maryna zmarł podczas okupacji, gospodarstwo synowcowi zapisując), pełno jej było w oczach moich wokoło, po polach, po wądołach, jogach i klepiskach, że o tej łące pamiętej pod borem me wspomnę.

*

Nazajutrz rano, u ciotki kierownika Zemździńskiego na drugim brzegu rzeki stołecznej przenocowawszy, udałem się do Urzędu Pełnomocnika. Jakież było moje zaskoczenie, kiedy wchodząc do jego gabinetu, ujrzałem za biurkiem Wierzbę–Druta!

Ale uśmiech, z jakim podszedłem do niego, rychło zgasł mi na wargach, bo powitało mnie spojrzenie surowe, bez cienia przychylności, a z usta padło słowo jak rozkaz:

— Siadajcie!

Usiadłem więc na wskazanym krześle po tej stronie biurka i wręczyłem pełnomocnikowi pisemny memoriał w sprawie wiadomego skansenu w Rozłupiu. Wierzbę zatonął w lekturze, od czasu do czasu podnosząc na mnie wzrok znad maszynopisu, a usta jego wtedy wyrzucały warkliwe jakieś pojedyncze słowo wyrwane z kontekstu memoriału: „...dziedzic... ekonom... dziewczę... do krzaków...” i te pe. Zabarwienie intonacyjne tych słów nie wróżyło mi nic dobrego i w miarę przedłużania się lektury zacząłem odczuwać dziwny niepokój. Przerodził się on w normalny strach, kiedy pełnomocnik po przeczytaniu mojego z kierownikiem Zemździńskim elaboratu odłożył go i bez słowa zaczął wpatrywać się we mnie wzrokiem, w którym malowały się osłupienie i wściekłość.

— Czy wy jesteście dziecko, czy wy jesteście idiota, czy wy jesteście po prostu wróg? — zapytał wreszcie, stosując crescendo przy kolejnych supozycjach, tak że słowo „wróg” zabrzmiało jak wystrzał w pierś moją.

Chwyciłem się też za serce jak kulą trafiony, bełkocąc zbiegającymi (czułem to!) wargami:

— Wrogiem to jeszcze... nikt mnie... nikt mnie... obywatelu pełnomocniku... nie znieważył...

— Mylicie się. Przeczytajcie to sobie!

To mówiąc wręczył mi anonimowy list podpisany „Czujny Rolnik”. Anonim ten, nadany na pocztę w Rozłupiu przed paroma dniami, najwidoczniej dotarł tego ranka do rąk pełnomocnika.

„Czujny Rolnik” donosi w nim o mojej rzekomo dywersyjnej działalności na terenie Rolno–Spożywczego Zespołu:

„... więc nie dość, że jako były opszarnik i wróg klasowy ziarno pomieszał i zachwałcił, że teraz rzyto w pszenicy, a konkul z jenczmieniem w ofsie rośnie, to jeszcze chce pod pokrywką muzeumu dwur z dziedzicem i czworakami z fonalamy restytować...”

Udane błędy ortograficzne i składnia miały wskazywać na chłopskie pochodzenie donosiciela, ale dla mnie nie ulegało wątpliwości, że list napisany był przez bezpartyjną Furdajewiczównę. Zazdrosna o przyjaźń kierownika Zemździńskiego dla mnie, usiłowała storpedować mój projekt. Niemniej poczułem się tak dotknięty obrzydliwymi zarzutami zawartymi w liście, że rozszochałem się jak dziecko, a łzy, padające na pisany anilinowym ołówkiem donos, zabarwiły go na fioletowo.

Wierzbę zaskoczyła moja szczerza reakcja na oszczerstwa „Czujnego Rolnika”.

— Coście wy, Rozłupski! Przestacie mi tu ryczeć! — wykrzykiwał dobrotliwie. — Macie chusteczkę, nos sobie wytrzyjcie...

Skorzystałem z ofiarowanej mi chusteczki, bom się istotnie strasznie zasmarkał od płaczu, i słowa począłem wyrzucać, hamowane spazmami krtani:

— Ja... tęskniłem... całą wojnę... W obozie tęskniłem... nie za matką... nie za dzieckiem rodzonym... Za ludowym... tęskniłem... za wiejskim... polnym... chłopskim... bufiastym... za portkami pasiastymi... kieckami kwiciastymi... za serdakami... miedzami... skibami... bruzdami... A jak mi ludową oznajmili... to jak na festyn, na wieś... śpieszyłem... na festyn... od barw tęczowych... jaśniejący... od dziewczyn jak... kwiaty... chłopów jak dęby... kwiatów jak dziewczyny... dębów jak chłopcy... Nie korzystałem z zasobów obszarnicznych... od młodości wczesnej klątwą ojca przeklęty... zerwałem z moją klasą... pracowałem w... w pocie... nóg moich....

— No, no, uspokójcie się — jał pocieszać Wierzba. — Przestańcie już. Wierzę wam, żeście naiwny raczej niż wróg. Znam się trochę na ludziach i wierzę wam.

Wstał od biurka i zaczął się przechadzać po pokoju. — Ale do tego Rozłupia nie macie już co wracać. A jeżeli, to żeby się spakować, manatki zabrać, jeżeli tam macie jakieś. O stanie gospodarki tamtejszej powiadomię władze terenowe, niech konsekwencje wyciągają. Oczywiście, po sprawdzeniu, jak to wszystko wygląda na miejscu. Ale z tego, co wy sami mówicie, zasrana to gospodarka, uczciwszy uszy wasze. Natomiast wasze skłonności i zamiłowania inaczej możecie wykorzystać. Muzeum Stroju Regionalnego powstaje w stolicy. Zgłoście się tam i powołajcie się na mnie. Moja sekretarka dostarczy wam bliższych szczegółów.

— Dziękuję, obywatelu pełnomocniku — mówiłem już uspokojony szklanką wody z karafki, którą mi podał. — Byłoby to rzeczywiście bardziej po mojej myśli, bom rozmiłowany w stroju chłopskim, a na współczesnej wsi mało się już z nim ma do czynienia. Ale chciałbym jeszcze słówko na obronę kierownika Zemździńskiego...

Udobruchany już pełnomocnik zachmurzył się ponownie na dźwięk tego nazwiska i przerwał mi oschle:

— Jeżeli nie chcecie pogorszyć sobie sprawy, to oszczędźcie mi dalszych jakichkolwiek słówek, zwłaszcza na temat kierownika Zemździńskiego. Bywajcie.

Uścisnąłem podana mi rękę i wyszedłem. Z wdzięcznością wspominam Wierzbę, bo serce miał dobre wbrew surowości pozorów i od grubych nieprzyjemności mnie uchronił. Działał z resztą błyskawicznie i sprężyście, bo gdy powróciłem do Rozłupia, zastałem działalność zespołu zawieszoną, a zabudowania gospodarcze opieczętowane pieczęcią Komisji Kontrolnej.

Kierownika Zemździńskiego od aresztu uratowała żona. Dosłownie w przeddzień aresztowania pod zarzutem marnotrawienia mienia publicznego, niczego jeszcze me prze czuwając, otrzymał wiadomość, iż się odnalazła po latach rozłąki małżonka jego i lada dzień zjawi się w Rozłupiu. Natychmiast spakował manatki i zbiegł z bezpartyjną Furdajewiczówną w nieznanym kierunku. Nigdy go już więcej nie miałem spotkać.

Sam dziecko zabrałem i rzeczy trochę i ruszyłem w powrotną drogę do stolicy, gdzie — zgodnie z obietnicą pełnomocnika — otrzymałem zatrudnienie w Muzeum Stroju Regionalnego.

Zamieszkałem na razie w prawobrzeżnej części stolicy, u tej samej, co poprzednio, ciotki byłego kierownika mojego, Zemździńskiego. Gościnnie ta niewiasta otoczyła mego Morysia nieprzebranymi zasobami macierzystej czułości (samotną była i bezdzietną). A on do niej „mama” wołał (jak zresztą do każdej kobiety, co się nad nim pochylała), rączkami, nóżkami wymachiwał, śmiał się, gaworzył, siadał nawet, ale rosnąć — nie rósł. Miejsca za to mało zajmował i pod tym względem nader poręcznym był l dzieciątkiem w ciasnych warunkach mieszkalnych. Kochałem l go zawsze tkliwym uczuciem ojcowskim, a zwłaszcza od dnia, w którym od śmierci, a w najlepszym razie od dotkliwego mnie uchronił kalectwa.

Bo dnia pewnego do mieszkania zacnej ciotki byłego kierownika mego, Zemździńskiego, wdarła się jego żona, przed którą tak szczęśliwie udało mu się umknąć. Odepchnąwszy ciotkę, która jej drzwi otworzyła, jak przeciąg przeniknęła pani Zemździńska w głąb mieszkania, a zobaczywszy, że łazienka zajęta, podejrzewając, że się tam mąż ukrywa, impetem potężnego ciała zerwała drzwi z haczyka i wpadła w momencie, kiedy nagi, z twarzą namydloną do golenia, a głową po myciu owiniętą ręcznikiem, stałem przed lustrem z brzytwą w ręku.

— To on! Poznają go! — wrzasnęła, może dlatego, że zasłonięta ręcznikiem głowa moja i twarz mały brała udział w identyfikacji.

— Nie znam pani... — powiedziałem przerażony, odkładając brzytwę na umywalkę, a okręcając biodra ręcznikiem zerwanym z głowy.

— To nie Gienek! — Pośpieszyła mi na ratunek pani domu. — To pan Rozłupski!

Dama zawahała się chwilę i wtedy dobrze wychowana ciotka kierownika Zemździńskiego postanowiła dopełnić formalności towarzyskich.

— Pan pozwoli, panie Maurycy, że go przedstawię. To jest Loda Zemździńska, żona pańskiego byłego kierownika, Gienka Zemździńskiego.

Te szczegóły były, oczywiście, zbyt cenne, bo spowodowały kolejny paroksyzm tęsknoty pani Lody za byłym kierownikiem i obudziły w niej nowe podejrzenia. Chwyciła z umywalni odłożoną przeze mnie brzytwę i zagroziła:

— Jeżeli natychmiast nie powie mi pan, gdzie on się ukrywa, to...

W jej prawej ręce błysnęła wzniesiona do cięcia brzytwa, a lewa zerwała ręcznik z moich bioder. Na szczęście, przytomna ciotka kierownika Zemździńskiego przytrzymała od tyłu obu rękami wzniesioną dłoń straszliwej Medei, co umożliwiło mi ucieczkę z łazienki. Zasłaniając się teraz łóżeczkiem Morysia, krzychałem na widok nadbiegającej za mną Lody, której sojuszniczka nie zdołała pozbawić brzytwy.

— Na to dzieciątko niewinne przysięgam, że nic mi o miejscu pobytu męża pani nie wiadomo i żadnych z nim kontaktów nie utrzymuję od dawna!

I oto nie zapewnienie moje, ale widok niemowlęcia sprawił, że groźny oręż wypadł z dłoni pani Zemździńskiej, która teraz dla odmiany wybuchnęła płaczem i, padłszy na kolana przed dziecięcym łóżeczkiem, zaczęła obsypywać Morysia pocałunkami, szlochając:

— Mogłabym mu jeszcze... dać takie dzieciątko, gdyby mnie nie... porzucił z tą k...
Fujdajewicz!

Chociaż zgadzałem się z porzuconą w opinii o koleżance Fujdajewicz, dramatyczna wizyta Lody Zemździńskiej tak mną wstrząsnęła, że w obawie przed dalszymi kontaktami z tą nieobliczalną panią postanowiłem przenieść się na lewy brzeg rzeki, serdecznie i nie bez żalu żegnany na prawym przez zacną mą dotychczasową gospodynię.

Powiodło mi się o tyle szczęśliwie, że kolega mój, niejaki Potrzebni, magister, wyjeżdżał właśnie na czas jakiś służbowo za granicę, więc dowiedziawszy się o moich kłopotach z mieszkaniem, zaproponował mi na czas swojej nieobecności własną kawalerkę w nowo wybudowanym bloku. Propozycję tę przyjąłem z wdzięcznością, kawalerka odpowiadała mi, tym bardziej że Morysia mogłem na razie pozostawić u ciotki kierownika Zemździńskiego, osładzając jej w ten sposób rozstanie ze mną.

Było to pierwszego wieczoru po moim wprowadzeniu się do owej kawalerki kolegi magistra Potrzebni. Pamiętam dobrze datę, bo był 8 marca, czyli Dzień Kobiet. Spodziewałem się w związku z tym wizyty dalekich kuzynek moich, siostr Sobieczynskich, więc przygotowałem kruszon, który to przysmak był moją specjalnością. Wstawiłem go właśnie — z braku lodówki — do wanny napełnionej zimną wodą, gdy zadzwonił telefon. Telefonowały siostry Sobieczynskie, przepraszając, że nie przyjdą, ponieważ przyjechali do

nich zniecka, bez uprzedzenia, bracia Cudzoróbscy. Mogłem wprawdzie zaprosić całą czwórkę, ale nie uczyniłem tego ze względu na zbyt małą dla tylu osób ilość przygotowanego kruszonu. Zresztą nie lubiłem braci, którzy i tak zepsuliby mi przyjętko swoim niewybrednym sposobem bycia.

Zdjąłem marynarkę, rozluźniłem krawat i zacząłem się sposobić do spędzenia samotnego wieczoru, a miłe mieszkanie i perspektywa kruszonu sprawiały, że nie bolałem zbyt z powodu mej samotności. „Miła” to zresztą zbyt słabe określenie kawalerki magistra Potrzebni. Była ona urocza, płaszcza dla mnie, bo urządzona z wielkim smakiem na ludowo, pełna pięknych kilimów, wełniaków, zydli, malowanek na szkle itp.

Kiedy więc znowu rozległ się dzwonek, tym razem u drzwi, zareagowałem nań zrazu niechętnie, a potem z niepokojem. Poza siostrami Sobieczymi znała mój nowy adres jedynie ciotka kierownika Zemdziańskiego, więc czyżby, nie daj Bóg, Moryś zaniemógł nagle...

Nie była to jednak ona. Za progiem stała w palcie narzuconym niedbale na nocną, długą koszulę, w futrzanej lekko przekręconej czapie na głowie, z kubelkiem na śmieci w ręku... pani naczelniczka Hunc. Była ona zwierzchnikiem moim po linii administracyjnej. Nie łączyły nas najlepsze stosunki służbowe, dość zresztą jednostronne.

Naczelniczka Hunc mnie nie lubiła, a ja, jako pracownik o kilka szczebli niżej położony, nie miałem żadnych możliwości rewanżu. Jak się to często zdarza urzędnikom administracyjnym (interpretującym na ogół w sposób suchy, urzędowy, a nie refleksyjny sylwetkę ludzką), pani naczelniczka Hunc, zapewne na podstawie życiorysu, uważała mnie za przyczajonego wroga klasowego. Do pomieszczenia, w którym urzędowałem, lubiła, na przykład, niejednokrotnie wejść zniecka, gwałtownie lub też niespodziewanie, cichutko, obrzucając mnie baczny, niezyczliwym spojrzeniem.

Kiedyś, pamiętam, zaskoczyła mnie tak gwałtownie przy biurku, że w popłochu zasłoniłem się wysuniętą szufladą. Wtedy naczelniczka podeszła i energicznym ruchem zasunęła szufladę, odślaniając moje rozpięte spodnie, do których przyszywałem sobie urwany guzik. Długo mi tego nie mogła darować i skreśliła mnie z listy pracowników przedstawionych do premii. Mając decydujący wpływ na awanse, kiedy zwolnił się etat starszego kieckiego w Dziale Kiecku i Zapasek, przeciwstawiła się awansowaniu mnie na to stanowisko, chociaż z moich obowiązków młodszego portkowego w Dziale Portek i Serdaków wywiązywałem się bez zarzutu.

I oto teraz, w otwartych drzwiach kawalerki magistra Potrzebni staliśmy naprzeciw siebie twarzą w twarz, oboje jednakowo zaskoczeni tym nieoczekiwanym spotkaniem. Po chwili wpatrywania się we mnie osłupiałem lekko wzrokiem, pani naczelniczka spytała:

— Skąd wy tutaj, kolego Rozłupski?

— Ja tu mieszkam, pani naczelniczka. Kolega Potrzebni odstąpił mi mieszkanie na czas swojej nieobecności. Wczoraj wyjechał.

— Rzeczywiście wyjechał. Zupełnie zapomniałam — przypomniała sobie. — I cóż wy mnie trzymacie na schodach?

— Ależ proszę! Pani naczelniczka pozwoli...

Weszła, potknąwszy się o próg, przy czym czapa zsunęła jej się na czoło. Spojrzała na mnie tak, jakbym to ja jej podstawił nogę. Postawiła kubek w przedpokoju i weszła do pokoju w ślad za moim zapraszającym gestem.

— Co za pech, że was tu zastałam, a nie magistra Potrzebni — stwierdziła, obrzucając mnie niechętnym spojrzeniem i poprawiając czapkę. — On by mnie wyratował z tej głupiej sytuacji.

— Jakiej sytuacji, pani naczelniczka?

— Spójrzmy faktom w oczy, kolego Rozłupski — powiedziała naczelniczka, siadając na podsunętym jej fotelu w sposób, który świadczył, podobnie jak potknięcie na progu, że jest

odrobinę pod działaniem alkoholu. — Zatrzasnęłam się z zewnątrz. Wysłałam, uważacie, żeby wyrzucić śmieci, i... drzwi, proszę was, bęc! Przeciąg czy co... znalazłam się więc w krytycznej sytuacji losowej. Samotna kobieta w nocy, na klatce schodowej... Nie widziałam was, a propos, na naszej kobiecej uroczystości.

— Pani naczelnik wybaczy, przeprowadzałem się akurat...

— Szkoda, bo miło było, wiecie... — powiedziała jakby nie do mnie, wyciągając z kieszeni pałta papierosa i wkładając go sobie do ust.

— Odwrotnie... — powiedziałem podając ognia.

— Nie byliście, a mówicie, że było odwrotnie. To jest krytykanctwo, kolego Rozłupski! — obruszyła się.

— Ja nie o przyjęciu. Tylko powiedziałem, że papierosa pani naczelnik włożyła odwrotnie, ustnikiem na zewnątrz.

— Aha... — poprawiła papierosa i zaczęła wyliczać uczestników przyjęcia: — Był inspektor Jarzębiak z Komisji Międzykontrolnej...

— Jarzeniak — poprawiłem.

— Dyrektor Soplca też był...

— Pani naczelnik ma na myśli dyrektora Kroplicę — sprostowałem taktownie.

— Towarzyszka Żubrówka...

— Chyba Żubrówna?

— A jak ja mówię? Poprawiacz! — Zniecierpliwiła się, po czym spytała tonem bardziej pojednawczym: — Nie znacie jakiego ślusarza w pobliżu?

— Ja tu pierwszy dzień, pani naczelnik. Obawiam się, że szukanie ślusarza o tej porze jest sprawą beznadziejną.

— To co ja zrobię?

Jej bezradność i zaskakująca kobiecość, nieoczekiwanie dla mnie emanująca spomiędzy pół rozpiętego pałta, sprawiły, że po raz pierwszy w tym oschłym urzędniku ujrzałem kobietę. I to kobietę — w tej pozycji i w tym stroju — dosyć kobiecą...

— Niestety, pani naczelnik będzie chyba musiała przeczekać tutaj do rana...

— Dlaczego w takim razie „niestety”? Czy to dla was takie już „niestety”, że musicie ugościć kobietę — zwierzchnika? — oburzyła się i spojrzenie jej znów stało się zimne. — Może wolicie wyprosić mnie na schody?

— Co też pani naczelnik? — zachnąłem się. — Gdyby pani nie była zwierzchnikiem moim, też bym tak nie postąpił. Z małą psiną przybłąkaną bym tak nie postąpił, a cóż dopiero... z taką... z takim bezmiarem kobiecości jak pani naczelnik!

Nie spodziewała się takich słów z moich ust (ja co prawda też się nie spodziewałem). Oczy jej rozszerzyło zdziwienie, a potem wzrok nagle złagodniał.

— Co rozumiecie przez „bezymiar”? Nie ważę dużo, a od zeszłego roku ubyło mi jeszcze półtora kilo...

— Szkoda — brnąłem dalej, nie mogąc się jakoś powstrzymać. — Ja bym bronił każdego grama, każdej piędzi pani naczelnik!

Uśmiechnęła się po raz pierwszy do mnie, odkąd ją znałem.

— Trujecie, Rozłupski — zakonkludowała żartobliwie, po czym znów posmutniała. — A więc sytuacja jest bez wyjścia. W jej słowach nie było już jednak poprzedniego przygnębienia.

— Raczej bez wejścia, jeżeli chodzi o drzwi pani naczelnik — zaryzykowałem żarcik. — Cha, cha, cha...!

— I cóż wy chichoczenie mi tutaj, Rozłupski? — Żart nie został dobrze odebrany. — Z czego? Wy nie macie powodu, żeby się martwić, to prawda, ale ja? Co mnie czeka? Czy wy myślicie, że wasze towarzystwo to dla mnie taka znów gratka? Chichotać mi tu będzie!

— Już nie będę. Pani wybaczy. Nie miałem zamiaru... Ot, chichotnąłem sobie raz z powodu gry słów, która wydała mi się zabawna. To wszystko. Wiem, że nie jestem partnerem dla pani naczelnik. Ani służbowo, ani socjalnie...

Ton szczerzej skruchy samokrytycznej i żalu, który zabrzmiał w moim głosie, udobruchał ją znowu. Uznawszy temat za wyczerpany, wstała z fotela i spytała niemal zalotnie:

— Gdzie tu jest lustro? Zdaje się, że jestem potargana...

— W łazience, pani naczelnik, będzie pani najwygodniej się przejrzeć. Proszę bardzo.

Po pewnej chwili wyszła z łazienki, nadal w czapie na głowie, ale za to z pustym naczyniem po kruszonie.

— Wybaczenie, kolego Maurycy, ale tak mnie suszyło, że wam wypita kompocik.

To, że po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu, było jednak mniej dla mnie wstrząsające niż to, że wypita kruszon, do którego wlałem butelkę wina.

— To, nie był kompot, pani naczelnik. To był kruszon! — Nie panowałem nad żalem, że nie zostawiła mi ani kropelki ulubionego napoju.

— Jak się zwał, tak się zwał, ale pycha to była! Weźcie to, żeby się nie stłukło.

Pozostawiając mnie z pustym dzbanem, wróciła do łazienki, gdzie też rozległo się jej wesołe nucenie i plusk puszczonej z kranu wody. Kiedy wróciłem z kuchni, dokąd odniosłem dzban, z łazienki dobiegło mnie zawołanie:

— Maurycy!

— Słucham... — odpowiedziałem pod drzwiami.

Trochę się już zacząłem niepokoić stanem mego gościa po, bądź co bądź, 0,7 litra wina, nie licząc trunku wypitego na uroczystości z okazji Dnia Kobiet.

— Proszę! Wejdźcie! — rozległo się zaproszenie zza drzwi. Z niepokojem uchyliłem takowe. Przy wannie, tyłem do mnie, klęczała pani naczelnik w nocnej koszuli z namydloną futrzaną czapką na głowie.

— Pani naczelnik namydliła sobie czapkę, a nie włosy! — wykrzyknąłem zbulwersowany tym widokiem.

Chwyła się teraz obu rękami za głowę i zaczęła ją nerwowo obmacywać. Wreszcie ściągnęła namydloną czapkę.

— Jezus, Maria! — zaszlochała. — Moje skunksy! Nie wiecie, czy to... wodne zwierzęta?

— Chyba nic im nie będzie. Trzeba czapkę optukać, wysuszyć na kaloryferze i po zmartwieniu.

— Wdzięczna wam jestem, Maurycy, za te słowa otuchy. Optuczcie...

Pocieszona już pociągnęła nosem, wręczyła mi czapkę i — lekko się zatoczywszy — wyszła z łazienki. Z potarganymi, bujnymi włosami koloru kasztanu (chyba sobie farbowała) i zaciekami od rzęs, które puściły farbę pod wpływem płaczu, wyglądała zabawnie i, muszę przyznać, niemal sympatycznie... zwiewna nocna koszula ujawniała szczegóły budowy, o jakie nigdy bym pani naczelnik nie posądzał.

Kiedy po wypłukaniu czapki opuściłem łazienkę, zastałem mego zwierzchnika leżącą po przekątnej tapczanu i przykrytą własnym paltem.

— Pora spać, Maurycy... — mruknęła sennym głosem. — Ja tutaj, a wy... gdziekolwiek...

Zanim zdążyłem się rozejrzeć za tym „gdziekolwiek”, poderwała się z tapczanu, stając obok z jedną ręką przy skroni, a drugą wyciągniętą ku mnie, jakby prosiła tym gestem o pomoc w utrzymaniu równowagi. Kiedy ją podtrzymałem, zapytała dość nieoczekiwanie:

— Można was prosić do tańca? Straszny karuzel mam w głowie. Na karuzel najlepszy taniec. Macie tu chyba jakieś płyty?

Nie wypuszczała z kurczowo zaciśniętej dłoni kołnierzyka mojej koszuli, kiedy usiłowałem nastawić adapter. Byłem już na wpół uduszony, gdy mi się to wreszcie udało. Popłynęły dźwięki tanga „Jalousie”... W tańcu trzymała się lepiej na nogach niż w pozycji stojącej w miejscu. A może to mój błędnik wystarczył na nas dwoje?

— Wyście przedwojenni, Maurycy? — zapytała mnie nagle w samo ucho.
— To zależy... sprzed której wojny, pani naczelnik. Powiedzmy, międzywojenny jestem.
— To dlatego tango macie we krwi... La, la, la... — zanuciła trochę inną melodię niż ta, która płynęła z głośnika. — Przestańcie już myśleć o mnie kategoriami służbowymi. Pamiętajcie, że człowiek, którego los wam powierzył na całą noc, nie jest tylko waszym zwierzchnikiem, ale i kobietą... A więc... człowiekiem diametralnie przeciwnej płci niż ta, którą wy reprezentujecie, Maurycy. Mam w każdym razie nadzieję, że diametralnie... A muszę wam powiedzieć, że jesteście mężczyzną nie pozbawionym swego wdzięku, który mnie dla was zjedno... zjedno... zjednywowywuje... Zaczynam patrzeć na was innym jakby okiem...

Bliskość jej ciała, tak ufnie wspartego na mnie, robiła swoje. Słuchałem jej słów także jako zapowiedzi lepszego jutra mojej kariery służbowej w Muzeum Stroju Regionalnego. Po kilku efektownych ewolucjach tanecznych, które przypomniałem sobie z okresu „Hadriana”, wyznałem:

— Wbrew temu, czego doznałem od kobiet, a doznałem od nich wiele bólu i upokorzeń, ja wciąż jeszcze wierzę w kobietę, pani naczelnik... Wierzę, że kobieta to w końcu najlepszy przyjaciel człowieka. I na taką czekam...

— A powiedzcie, Maurycy... — zniżyła głos do intymnego, zmysłowego szeptu. — Powiedzcie, czy wyście już kiedy... jakiejś kobiecie... żyrowali?

Przykrym zgrzytem zabrzmiało mi to słowo z handlowego słownika zaczerpnięte w zestawieniu z tym szeptem obiecującym. Odpowiedziałem więc w sposób oschły, rzeczowy:

— Nie przypominam sobie. Ostatnio raczej nie.

— A mnie byście podżyrowali?

Ochłonałem nieco z pierwszego przykrego wrażenia i pomyślałem, że jednak to dla mnie zaszczyt taka propozycja. Zwierzchnik to przecież i całkiem ponętna kobieta.

— A... co podżyrować na przykład? — spytałem już cieplej.

— Samochód. Przydzielili mi na raty.

Nie przypuszczałem, że chodzi o obiekt tak kosztowny, więc zaniepokoiłem się trochę:

— Zmieścimy się oboje... — wionęło z ust jej czułe zapewnienie.

— Oboje? Pani naczelnik żartuje! — Nie wierzyłem własnym uszom.

Zatrzymała się w pół kroku i, opierając się obu rękami na moich ramionach oraz głęboko patrząc mi w oczy, bardzo poważnie wyznała:

— Absolutnie nie żartuję! Ciężkość mi się spodobała, Maurycy... Ciężko! Szczęściarz z ciebie jednak... Och, znów ten karuzel w głowie! Jak tylko przestają tańczyć...

Puściła mnie i zaczęła tańczyć solo.

— Teraz już lepiej... La, la, la... — Pani naczelnik...

— Mów do mnie „Miśka”... Podżyrujesz Miśce? — spytała pieszczotliwie, wirując zalotnie wokół mnie.

— Tak z punktu per „Miśka” nie mam śmiałości, pani naczelnik... Moglibyśmy najpierw przejść przez „panią Michalinę” — broniłem się na straconych pozycjach.

— Podżyrujesz pani Michalinie? — nastawała płasając.

— Pod warunkiem, że drugim żyrantem nie będzie magister Pantałyk! — wybuchnąłem.

— O, zazdrosny! Zazdrosny! Jaki miły, kiedy zazdrosny! — Pani naczelnik przestała tańczyć. — Uff! Zmęczyłam się...

Magister Pantałyk był zdecydowanym faworytem naczelnik Hunc. Nie lubiłem Pantałyka za jego pewność siebie przy minimalnej kompetencji zawodowej i za łatwość, z jaką zdobywał sobie wzięcie, zwłaszcza u koleżanek.

— A może byś teraz nastawił coś do słuchu? — spytała, siadając na brzegu tapczanu w malowniczej pozycji, z nogą wysoko założoną na nogę.

— Można coś Bacha? — zapytałem, natrafiając w płytotece magistra Potrzebni na płytę z chorałowymi preludiami.

— Można — zgodziła się. — Buch Bacha!

Zabrzmiały organy. Miśka słuchała chwilę i nagle ze łzami w oczach oświadczyła:

— Pięknie, jak w kościele... Przypomniało mi się dzieciństwo ... Mnie muzyka to aż... tutaj, tutaj... — mówiła, gwałtownie uciskając lewą pierś, tak że o mało nie wypchnęła jej z dekoltu. — Ja nawet głos mam niczego. Śpiewam nie gorzej od niejednej zawodowej.

Na poparcie tego, co powiedziała, zaśpiewała na tle preludium Bacha silnym, nieczystym sopranem:

— Besa me! Besa me muuuuuuczo! Tralala la la la la... Nagle przerwała popis wokalny, wyraźnie blednąc.

— Jakoś mi niedobrze — zwierzyła mi się. — Psychiczenie jestem szczęśliwa, a fizycznie mi niedobrze... Powietrza!... Wyprowadź Miskę na balkon!

Na balkonie zaraz poczuła się lepiej i pełnym głosem podjęła przerwany występ wokalny:

— Besa me muuuuuuczo!...

Chwyciłem ją za rękę, ciągnąc z powrotem do pokoju.

— Ależ, pani naczelnik! Nie można śpiewać o tej porze na balkonie! Toż noc głęboka!

Szamocząc się ze mną, groziła:

— Jeżeli nie powiesz nareszcie „Miśka przestań!”, to nie przestanę! Zaśpiewam jeszcze głośniej!

— Miśka, przestań, błagani!

— A widzisz, powiedziałaś... — Grzecznie teraz pozwoliła się wyprowadzić z balkonu. — Nie piliśmy brudersaftu, ale możemy się pocałować. Powiem ci coś na lipę: Kocham cię, Maurycy. Pocałuj Miskę...

Oszołomiony tym wyznaniem i bliskością jej rozchylonych, wilgotnych warg nie analizowałem zwrotu „na lipę”. Chwyciłem Miskę w ramiona i padłem z nią na tapczan. Ale w tej samej chwili rozległo się chrapanie. Miśka zasnęła. Gwałtownie i głęboko. Zrobiła się zupełnie miękka i bezwładna. I chrapiąca jak piechur po całodziennym marszu. Ułożyłem ją wygodnie na tapczanie, okryłem kocem, a sam usiadłem opodal w fotelu, wpatrując się w tę twarz, tak jeszcze niedawno pełną wrogości, a teraz tak mi bliską, zyczliwą, że nie powiem — tkliwą... Uśmiech igrał na jej chrapiących rozchylonych usteczkach, a kosmyk włosów, który zsunął się na buzię, lekko, miarowo podfruiwał unoszony jej oddechem.

„Chyba się nie będzie afiszowała w muzeum ze swoim uczuciem dla mnie. Za to po godzinach służbowych w tym samochodzie, który jej podzyruję, a którym odwozić mnie będzie z pracy do domu...” marzyłem. „To będzie tak, jak w tym starym dowcipie: policjant na skrzyżowaniu krzyczy na faceta, który jedną ręką obejmuje dziewczynę, a drugą kierownicę: Panie! Oburącz! A facet na to: A czym będę trzymał kierownicę? Cha, cha, cha!”

Zachichotałem cicho do swych własnych myśli, a potem, zmęczony przeżyciami tej nocy, i ja zasnąłem głęboko.

Obudziło mnie słońce świecące mi prosto w oczy. Przez chwilę nie mogłem się zorientować, gdzie jestem i kto śpi na tapczanie... Bolały mnie mięśnie i kości po niezbyt wygodnym śnie na fotelu. Powoli wszystko sobie przypomniałem. Było już dość późno, a dzień powszedni, roboczy, więc z bezbrzeżną tkliwością pochyliłem się nad nie chrapiącą już Miską i począłem lekko gładzić jej bujne pukle.

— Czas wstawać, Misiuniu — szepnąłem tuż nad jej uszkiem.

— Zostaw, Edek — obruszyła się, nie otwierając powiek, i odwróciła twarzą do ściany.

Cofnąłem rękę, jakby mi włożono do niej bryłkę lodu. Magister Pantaląk miał na imię Edek.

— Maurycy, nie Edek! — krzyknąłem niemal brutalnie. Ciało pod kocem zafalowało. Już po chwili siedziała na tapczanie i szeroko rozwartymi, nieprzytomnymi jeszcze oczami przyglądała się mojej osobie.

— Rozłupski? Co wy tu robicie? — powtórzyło się niemal dokładnie pytanie sprzed paru godzin.

— Mieszkam tutaj, pani naczelnik — odparłem niecierpliwie.

— Jak to, mieszkacie? — oburzyła się. — W moim domu?

— To nie jest dom pani naczelnik. To jest mieszkanie magistra Potrzebni, które czasowo mi odstąpił.

Zaczęła się rozglądać, przytomniejąc. Prawda, którą jej zakomunikowałem, była nieodparta.

— Zaraz... Jak to było? Aha, prawda! Pomyliłam drzwi i wypiąłam u was kompot. A potem już nic nie pamiętam... — przypominała sobie niezbyt precyzyjnie bieg wypadków, by nagle rzucić mi w oczy bezprzykładne oskarżenie: — Czegoście dodali do kompotu, Rozłupski? Czym wyście mnie obezwładnili?

— To nie był kompot! — wybuchnąłem. — To był kruszon, do którego wlałem butelkę radzieckiego szampana. Pani nie pomyliła drzwi, tylko zatrzasnęła się pani, wynosząc śmiecie i nie mając przy sobie kluczy do mieszkania!

— Gdzie moje wiaderko w takim razie? Proszę mi dać wiaderko! — rozkazała.

Przyniosłem wiaderko z przedpokoju i postawiłem przed panią naczelnik, która już opuściła w tym czasie tapczan i szczelnie zapinała na sobie palto. Energicznym ruchem zdjęła wieczko z wiaderka i wyjęła pęk kluczy. Podtykając mi je pod nos, jakbym to ja je tam ukrył, warknęła:

— A to co? Nie trujcie, że zapomniałam kluczy!... Och, moja głowa!... — Chwyciła się oburącz za skronie z grymasem bólu na złej twarzy. — Otruliście mnie! Bóg jeden wie, jak wykorzystaliście moją nieprzytomność! Nikczemnik!

Chwyciła wiaderko, czapkę z kaloryfera i skierowała się ku wyjściu. Przy drzwiach odwróciła się jeszcze ku mnie i rozkazała:

— Przygotujcie mi na jutro sprawozdanie za cały okres!

— Pani naczelnik... — Zachwiałem się od tym ciosem. — Okres się jeszcze nie skończył...!

— Ale wyście się u mnie skończyli, Rozłupski! Wyszła, trzaskając drzwiami.

Ale kiedy przyszedłem do pracy, nie była już taka nieprzyjemna i wściekła. Powiedziałbym, że niemal przeciwnie. Wezwała mnie do siebie i w cztery oczy oświadczyła, że nie wyciągnie żadnych służbowych konsekwencji z mojego „postępu” (!), jeżeli ja ze swojej strony rzecz całą zatrzymam przy sobie. Zwłaszcza zależy jej, by magistra Pantafyka uchronić od plotek, które mogłyby rzucić cień na jej nieskazitelną reputację. Zapewniłem panią naczelnik, że może być spokojna. Widocznie przypominała sobie więcej szczegółów z okresu własnej niedawnej nietrzeźwości, bo powiedziała na pożegnanie:

— A tańczycie niezłe, kolego Rozłupski. Z pozycji tańca towarzyskiego można by was nazwać przodującym tancerzem.

— Dziękuję, pani naczelnik — powiedziałem oziębło i wyszedłem z jej gabinetu, odetchnąwszy z ulgą, że już nie muszę przygotowywać sprawozdania.

Niedługo zresztą przyszły czasy, kiedy pochodzenie moje przestało mi zawadzać w objęciu stanowiska starszego kieckowego, a później nawet zastępcy kustosza, którym jestem do dziś. I pomyśleć, że byłem bliski zaangażowania się w tej babie! Przelotnego zresztą zaangażowania, bo, w gruncie rzeczy, zawsze kochałem tylko jedną...

Lata mijały, Moryś nie rósł, a ja starzałem się. Dość zresztą korzystnie się starzałem... Wydaje mi się nawet, że z wiekiem nabierał jakiejś szlachetnej patyny, która

mój *exterieur** dźwigała niejako na wyższy szczebel. Brzucha nie dostawałem, zęby się trzymały, a bujna wciąż czupryna, srebrem na skroniach przysypana, i oko bystre, młodzieńcze, dopełniały całości całkiem dla oka przyjemnej. Ubierać się też zacząłem wytwornie: w miękkie angielskie tweedy, które przywoziłem sobie z odwiedzin u mamy (wówczas jeszcze żyjącej), z zagranicy.

Toteż nie zdziwiło mnie, kiedy zaszedłszy pewnego wieczoru do świeżo otwartego po latach remontu dancing–baru „Hadrian” stwierdziłem, iż mimo moich krzyżyków na karku koncentruję na sobie wcale żywe zainteresowanie pań. „Hadrian” nie był już owym „punktem zbiorowego żywienia i tańca towarzyskiego” z pierwszych lat powojennych. Drobiazgowa rekonstrukcja przywróciła dancingowej sali przedwojenny wystrój, na który patrzyłem z sercem ściśniętym wzruszeniem. A i zapelniająca salę publiczność, zadbana i schludna, bawiła się kulturalnie. Tyle że przy stoliku z napisem „Służbowy” pożywiało się kolacją dwóch kelnerów, nie reagując na błagalne, uniżone zawołania gości.

Ja miejsce przy barze zająłem, kątem oka dostrzegając o parę miejsc dalej siedzącą samotną wytworną damę, która nie spuszczała ze mnie oka. Nie patrzyłem w jej stronę, nie chcąc zawierać przypadkowej znajomości, ale wzrok jej na sobie wyczuwałem wyraźnie. Aż w momencie, kiedy zapłaciwszy barmanowi za zamówioną szkocką, miałem się ku wypiciu tejże, usłyszałem tuż obok siebie dziwnie znajomy głos:

— Czyżby pan Rozłupski?

Tuż przy mnie stała, opuściwszy swe miejsce, owa dama. Niełatwo było mi rozpoznać w tych przedłużonych ołówkiem do uszu niemal oczach ? la Nefretete — tamte oczy; w tym kasku tapirowanych włosów — tamten warkocz jasny; w tych pokrytych grubą szminką wargach — tamte, które szminki nie znały.

— Pani Ja... — nie domówiłem imienia, zsuwając się z barowego stołka, by stanąć przy damie.

— Ja...goda — dokończyła za mnie. — Bardzo się zmieniłam?

— O, tak... — odpowiedziałem. — Ale uroda wciąż ta sama, mimo że forma jej, rzekłbym, odmienna.

Ujęta najwyraźniej moją odpowiedzią, postawiła swój kieliszek obok mojej szklanki, mówiąc:

— Nie widziałam pana przecież od owego wieczoru z Wierzbą, ale mężczyznom nie mówi się komplementów...

— Ja tu nigdy od owego wieczoru nie byłem.

Za nami saksofon rozekłał się melodią „Petite fleur”. Przysunęła się do mnie jeszcze bardziej. Oparta jedną ręką o blat baru, nadal ładząco podobna do Jagusi, teraz, w tym bliskim planie, ujawniała znamiona czasu, który wycisnął swe piętno na fakturze jej cery, na lekko obniżonym poziomie biustu... Nie ujmowało to nic z jej urody. Przeciwnie, jak słoneczny pejzaż jesienny spowijała ją lekka mgiełka melancholii przemijania, czyniąc to piękno jesiennie cenniejszym jeszcze przez swą ulotność.

— Wziął mnie pan wtedy za jakąś... Jagusię? — szepnęła.

— I dziś mógłbym panią wziąć...

Roześmiała się cicho, zmysłowo, z gry słów mych niezamierzonej.

Zaczęliśmy tańczyć. Oparłszy swą główkę na mojej skroni, spytała:

— I cóż by mi pan powiedział, gdybym była ową Jagusią?

— Powiedziałbym: zmieniłaś się, ale jesteś wciąż tak ładna i bardziej jeszcze upragniona niż wtedy...

— Kiedy?

— Wtedy... na łące, pod borem.

— Ożeniłeś się?: ona by spytała.

— Nie: odpowiedziałbym. A ty? Nie wyszłaś za mąż? — Już dawno... nie wychodziłam.

— A ten Wierzba–Drut?

— Dawne dzieje. Na placówce on teraz jakiejś dalekiej...

— Lubiłem go. Wiele mu zawdzięczam. W końcu to on mi pomógł przenieść się tutaj, do Muzeum Stroju Regionalnego, gdzie dosłużyłem się stopnia zastępcy kustosa... Mam tam strój ten, który nosiłaś wtedy, na łące... Odkupiłem go dla muzeum podczas służbowego wyjazdu w teren. Twój brat stryjeczny, Józek Maryna, mi sprzedał: powiedziałbym, gdyby pani była Jagusią. Serdak w róże wyszywany, korale, spódnica kwiciasta, bluzka bufiasta, chusta wzorzysta... Zabieram go czasem do domu, na łóżku rozkładam i... łąż zraszam.

— I po cóż to łąż zraszać? — wzruszona przyłgnęła do mnie tak szczelnie, że długopis zachrotał mi w wewnętrznej kieszeni. — Do mnie przynieś to wszystko. Mieszkam na Entuzjastów. Włożę dla ciebie, jak zechcesz... Może będzie pasować...

Krew uderzyła mi do głowy, między innymi, ale też i chwila opamiętania szybko nadeszła.

— Nie, nie! — Próbowałem rozluźnić uścisk pani Jagody. — Ja już nie ten, co niegdyś. Mam dziecko zresztą, obowiązki...

— Pewno... żonate już dziecko?

— Nie. Maleńkie, bo nie rośnie jakoś...

— Ach, to cudownie! — ucieszyła się. — Ach, nie ma nic słodsze nad gotowiutkie, maleńkie dzieciątko! Przynieś je do mnie również. I... szczoteczki do zębów nie zapomnij. Znów tą szczoteczką do zębów zmysły mi rozogniła, ale broniłem się jeszcze ostatkiem sił, choć sprzymierzeniec jej, saksofon, sączył mi w uszy zniewalającą melodię.

— Może bym i przyniósł dziecko... Ale nie uczynię tego dla kaprysu pięknej kobiety, której zmysły obudził na chwilę przelotną anachroniczny mężczyzna.

Łamiąc mój słabnący opór, jeszcze mocniej natarła na mnie anodą i katodą biustu, a gdy prąd mnie przeniknął, za ucho mnie pieszczotliwie pochwyciła zębami.

— Nie mów tak. Ja mam poważne zamiary. — Moje ucho w jej zębach utrudniało jej artykulację, czyniąc ją tak uroczo mazurzącą. — Jestem kobietą na stanowisku, więc dużo wolnego czasu nie mam, ale na skromne pracujące małżeństwo wystarczy.

— Małżeństwo?! — zachnąłem się, wrywając ucho z jej zębów.

Słowo to wstrząsnęło mną. Echem dni tamtych, odległych zabrzmiało, kiedy o niczym innym nie myślał, jeno by miłość duchową i cielesną sakramentem uświęcić, związkiem nierozzerwalnym przywiązać do siebie to, co tak nieuchwytnie, ulotne było.

I zdało mi się teraz, że oto dziewczyna z dni tamtejszych w objęciach mnie trzyma, pszenno–chabrowa, leśno–łąkowa, polno–miedzowa, żarliwie o rękę prosząc:

— Do dziecka kogoś weźmiemy. Chyba żebyś ty przestał pracować. Ach, jak by to było cudownie: wracam z terenu, na przykład, a tu dom, dziecko, obiad na stole, a przy stole ktoś bliski, stęskniony... Przyjdź jutro, Maurycy, o siedemnastej trzydzieści, na Entuzjastów, blok D, mieszkania 6789... Albo lepiej o osiemnastej.

Sił mi zabrakło na dalszy opór. Już nie broniłem jej ust mych, w które zachłannie wargami się wpiła...

Odwiozła mnie swoim wozem do domu, ale nie chciała wstąpić.

— Muszę dziś jeszcze zajrzeć do drukarni, bo umówiłam się z kolegą. Jutro czekam o osiemnastej trzydzieści.

— Mówiłaś, że o osiemnastej — przypominałem.

— Tak, ale lepiej o osiemnastej trzydzieści. Pewniejsze, że się nie spóźnię.

— Wiesz, wolałbym jednak pojutrze... Pojutrze muzeum nieczynne, więc będę mógł bez trudu ten strój wypożyczyć... ludowy — prosiłem.

— Jaki strój? — Nie pamiętała już.

— Ten, o którym ci mówiłem. Sama mi to przecież zaproponowałaś — przypominałem.

— Ach, tak... Tak ci zależy na tym stroju? — uśmiechnęła się.

~ Tak — powiedziałem z mocą, wymownie patrząc jej w oczy. — Mnie bardzo na nim zależy,

— A więc dobrze. Pojutrze, o tej samej porze, mój... ludomanku!

Tak zaczął się ostatni rozdział mej opowieści, rozdział zatytułowany „Redaktor Jagoda”. Poślubiła mnie wkrótce i uczyniła geniuszem. Geniuszem domowego ogniska, jak mawiała. W domu przebywała rzadko i wtedy przeważnie pisała. Reportaże, artykuły itp. Podczas pisania nie dbała o siebie. Tyle że musiało być cicho w domu. Potargana, w opadających pończochach i niedbałe zapiętym szlafroku ukazywała się od czasu do czasu w uchylonych drzwiach swego gabinetu i zamawiała u mnie mocną herbatę, rzadziej kawę lub kanapkę. Alkohol trzymała u siebie.

Na ogół jednak przebywała w terenie. Zbierała materiały do reportaży. Czasem zdarzało się jednak, że spotkałem wtedy jej samochód parkujący gdzieś na mieście. Tłumaczyła mi potem, że pożyczyła go koledze, bo wolała podróżować koleją lub pekaesem. Raz nawet zobaczyłem ją z kolegą podczas rzekomej nieobecności jej w mieście. Okazało się, że kolega podrzucił jej w ostatniej chwili ciekawszy materiał niż ten, po który miała jechać. Nie był to zresztą nigdy jeden i ten sam kolega. Kolegów miała wielu, tak w stolicy, jak i rozsianych po terenie, a zawsze służących jej ciekawym materiałem i pomocą w razie potrzeby.

Dla Morysia zresztą była dobra. Zawsze mu coś przywozi ze swoich wyjazdów. Grzechotkę albo lizaka. Bo mówić — Moryś nie mówił, ale lizał już i grzechotał bardzo udanie. Rozkoszny był nadal, chociaż nie rosnący... Z biegiem czasu Jagoda zaczęła powracać coraz rzadziej ze swoich wyjazdów. To znaczy, coraz częściej wyjeżdżała, a coraz rzadziej powracała...

Wczoraj pozmywałem po obiedzie i postanowiłem się zdrzemnąć. A że przez kilka ostatnich nocy czekałem na Jagodę z gorącą herbatą, bo wróciła z kilkudniowym opóźnieniem (zawsze, kiedy wróciła, lubiła się napić herbaty), zasnąłem mocno. Obudziło mnie trzaśnięcie drzwiami. Po chwili usłyszałem odgłos ruszającego auta.

Na stoliku przy moim tapczanie leżała karteczka:

„Drogi Maurycy!

Wyjeżdżam, na zawsze tym razem. Mieszkanie możesz zatrzymać. Jeżeli uważasz, że robię ci świństwo, to pomyśl o tym bezmiarze świństw, które na przestrzeni wieków mężczyźni zrobili kobietom.

Jagoda”

Wstałem, ubrałem się, zabrałem wózek z dzieckiem i wyszedłem.

Maurycy Rozłupski skończył swoje opowiada nie. Zmętniały od łez i wypitego koniaku wzrok jego spoczął na pustej, zielonej butelce, a potem utkwiał w oczach Kacpra Kuciepy, które ten dyskretnie przetarł wierzchem dłoni.

— Trudno mi znaleźć słowa, żeby wyrazić ci, Maurycy, moje bezdenne współczucie — powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem. — Co te baby z nami wyprawiają!

— Nie trzeba, Kacper — łagodnie zareagował na eksklamację słuchacza swego były książe. — Nie trzeba mi słów współczucia. Ot, przyprowadź mi wózek z Morysiem i, jeśli łaska, odprowadź nas do domu. Niedaleko stąd, a będę ci wdzięczny, bo boję się sam wracać do tej pustki, która mnie tam czeka...

Kiedy lordowska sylwetka Kuciepy oddalała się w kierunku szatni, Maurycy rozejrzał się po sali. Pusta już ona była prawie ze względu na późną godzinę, a i na rozpoczynający się niebawem dzień pracy. Trzech muzyków przygrywało jeszcze bez przekonania dwóm snującym się sennie po parkiecie parom, ale reszta pakowała instrumenty do futerałów, szykując się do odejścia. Barman przecierał ladę, przesuając, w miarę potrzeby, spoczywającą na niej głowę gościa, który na to nie reagował, kurczowo zaciskając teczkę w jednej ze zwisających bezwładnie rąk.

Nagle od strony szatni buchnął gwar wesołych, damskich głosów i w ślad za nim schodami spłynął ku sali barwny bukiet wiejski szczebioczących wesoło kobiet. Niby klomb wiosenny zakwitły, zbite w gromadkę przy wejściu, a po chwili płynęły już tęczową rabatą wśród stolików, aż znowu rozkwitły w pobliżu Maurycyego, przy dwóch zsuniętych przez usłużnego kelnera stolikach, niby krzew bujny kwiatami chust, koralu, serdaków i zapasek okryty, głosami ptasząt rozćwierkany.

Skąd się wzięła ta wieś reymontowo–chełmońska w samym sercu współczesnej miejskości? Może ze zjazdu jakiego kół wiejskich gospodyń, kursokonferencji czy koncertu ludowych zespołów? Mniejsza o to.

Dość, że Maurycy, olśniony tym barwnym swojskim zjawiskiem, jak urzeczony wpatrywał się w przybyłe, a na wargach jego błąkał się uśmiech błogi, gdy szept z nich płynął:

— Kwiaty polskie! Jagusie moje!

Zachwyt jego nie uszedł uwagi dorodnych wiejskich gospodyń. Właśnie Kacper Kuciepa przechodził koło nich, gdy zagadnęła go wzrostem najśluszniejsza, przywódczyni grupy widać:

— A cóż to się w nas ten starszy facet tak wpatruje, jakby rolniczek nigdy nie widział?

— To nie zaden facet. To były księżę — z godnością zareagował na pytanie Kuciepa, odchodząc ku szatni.

— Księżę! — wykrzyknęła rozbawiona niewiasta. — A to dopiero! Dziewczęta! Poderwiemy księcia!

I już sunie ku niemu, ku Maurycemu, między stolikami, w pas mu się kłania nisko niby przodownica na dożynkach i do tańca prosi. A że Rozłupski, choć babą oczarowany, z trudem na nogi, trunkami osłabione, się dźwiga, ta za obie ręce go chwyta i jak ptaszka lekkiego za skrzydełka na parkiet wyciąga. Widząc to skrzypek, co już po futerał na skrzypce sięgał, z uśmiechem szelmowskim kujawiaka jak nie utnie od ucha! Już i harmonista, i basista za nim, i cała już orkiestra rżnie siarczyście! A przodownica z Maurycem mknie dokoła, z lewej do prawej i z prawej do lewej go przerzucając, zamasyście, może nawet zbyt zamasyście jak na zwiotczałe nogi tancerza.

— Pani cudownie tańczy... Ale proszę mnie odprowadzić do stolika... bo kręci mi się w głowie... I grzecznie sobie potem pójść, proszę... Żadnych przysiadań... wódeczek... flircików... Zerwałem z tymi rzeczami... Ja nie jestem łatwy mężczyzna...

Za późno! Próżne prośby! Hej, wysypał się rój dziewcząt za swą przywódczynią na krąg taneczny, wieńcem Maurycego otoczyły, w dłonie klaszczą, podśpiewują, pohukują. A środkiem piec— baba wiruje, Maurycem zamiata w powietrzu, że rzadko on nogami gruntu dotyka.

— Jestem już strasznie zmęczony... proszę pani... Nie jestem już wyrostkiem... Błagam, tylko bez takich figur!... Ja już nie chcę... Ja już nie mogę...

Ale nikt tego nie słucha. Rozszalały się baby. Z rąk do rąk teraz on przelata. A każda zawiruje nim, zakręci i do następnej, do następnej, do następnej...

A tam w szatni Kacper Kuciepa, lat dziecięcych Maurycego towarzyszy i powiernik, potrząsa oburącz szatniarką Marceliną i krzyczy:

— Nie może to być! Co pani zrobiłaś z dzieckiem tego biedaka? Nie może to być!

— Coś pan, panie Kacperku!... — tamta mu na to ze łzami. — Co miałam zrobić? Ja, co tak kocham dzieciaczki? Przecie tłumaczę panu. Zaraz, jak tylkoś pan wózek mnie zostawił, pomyślałam sobie: budkę opuszczę, to maleństwu nie będzie duszno. Opuszczam budkę, a tam — żadnego dziecka nie ma! Żeby tak nigdy za mąż nie wyszła, jak mówię nieprawdę! Pod kołderką szukam, wytrząsam wózek do góry dnem — żadnego dziecka! Pusty był!

A na sali kujawiak–kujawiaczek! Oberek–obereczek! Mazurek–mazureczek! Że muzykanci z tego grania aż wąsik sumiastych podostawali, portek pasiastych, serdaków, czapek z piórami! A baby wzorzyste, bufiaste, piersiaste, wciąż tańcem rozbuchane, choć nie takie już kraśne jak na początku. Postarzały, pocą się, zębów im ubywa i włosy rzędą, a w pędzie nie ustają, w wirze w hołdach i krzesańcach, choć słabnie ich partner w oczach, blednie i ślania się, bidak... Co go która spódnica nakryje, a potem odkryje, to on — niby karp — łapie ustami powietrze. Aż go biustami jedna po drugiej — buch, buch! A on jak piłka, co puszcza powietrze, coraz słabiej odskakuje... coraz słabiej...

Aż go obstaną dookoła, ciżbą kolorową pochłoną, zewrą się nad nim topielą barwną, kwiaciastą, bufiastą, wzorzystą... Już tylko dłoń białą, wyciągniętą w górę nad babską zawieruchę widać, niemym rozpaczy gestem ratunku wzywającą... Ale i ona wędnie i niknie...

- * Co się dzieje z tym nieszczęśnikiem?... Wymiotuje do swego talerza!
- * Zwrot krupiera przy ruletce oznaczający koniec przyjmowania zakładów.
- * Tu: dyskretne mieszkanko.
- * Czas wrócić na łono rodziny... Nic z tego, bratanku... Nic z tego...
- * Zdumiewająco dobrze pan tańczy, panie Maurycy.
- * Niech się pan tym nie przejmuje, Maurycy.
- * Rozkoszna jest ta mała!... Niech mi pan powtórzy to słówko, Maurycy.
- * W stylu wiejskim.
- * Na stojąco.
- * Tu: smakosz życia („bon viveur” jest niepoprawną formą zwrotu francuskiego „bon vivant”, używaną przez polską arystokrację).
- * Powierzchność